Rok VII. Lwów, Niedziela dnia 18. Lipca 1880 r. Tom XI.

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 29.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 zł. półrocznie 7 zł. kwartalnie 3 zł. 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 zł. 60 ct. półrocznie 8 zł. 80 ct. kwartalnie 4 zł. 40 ct.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
L. 14 plac Halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

Z CIĘŻKICH DNI

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

napisał

TEOD. TOM. JEŻ.

(Ciąg dalszy).

III.

Futor pana Macieja.

— Porajcie się z ogniem prędko... — rzekł jegomość do niewiast, do posiłku porannego zasiadając. Tatarzy nocowali pod Popieluchami, a zatem na godzin parę przed południem pod naszym będą lasem... Nie trzeba im dymu pokazywać...

Niewiasty przyjęły zlecenie to do wiadomości.

— Cóż chora?... — zapytał pan Maciej.

— Śpi wciąż... — odrzekła pani Maciejowa.

— Uhm... sen się jej udaje... — zauważył jegomość głowę przekrzywiając i brwi podnosząc - *niuroku*... — Byłby z nią kłopot, gdyby broń Boże czego...

Wyrazy ostatnie odnosiły się do możliwego Tatarów najścia, wymagającego szukania schronienia w gąszczy leśnej.

— Ano!... — odparła staruszka na to. Zostanę ja, stara Łucycha i dziad... My starzy, ona chora...

Jegomość ramionami wzruszył i w chwili tej słyszeć się dało z alkierza chrząknięcie lekkie.

— A... otóż i obudziła się... — odezwała się pani Maciejowa, wstając pospiesznie od stołu.

Chora obudziła się w rzeczy samej, powiodła okiem do koła — w oczach jej malowało się zdziwienie wielkie — chrząknęła. Zdziwienie jej wzmogło się, gdy ujrzała przed sobą panią Maciejową, która, zbliżając się do niej z dobrotliwym na ustach uśmiechem — zapytała:

— Cóż, duszko?... i jakże?... czy ci nie potrzeba czego?...

Chora w oczy jej patrząc, ruszyła razy parę ustami w sposób, oznaczający usiłowanie przywołania wilgoci na język i na podniebienie.

— Napiłabyś się... co?...

— Jeżeli łaska... proszę... — odrzekła głosem cichym.

Jejmość przychyliła jej do ust kufelek z przysposobionym kwaskowatym napojem, którego ona pociągnęła długich haustów kilka, spojrzała z przymileniem wdzięczności pani Maciejowej w oczy i rzekła:

— Dziękuję...

Głos jej zabrzmiał tym razem mocniej nieco, a zarazem tak jakoś srebrzyście, że wniknął jejmości do serca, sprawiając w takowem uczucie rozrzewnienia.

— I jakże się czujesz?... — zapytała.

— Nie wiem... — była nieznajomej odpowiedź. Jak ja się czuję?...

Westchnęła.

— Gorączka ci się zmniejszyła znacznie...

— Gorączka?... — zapytała z takim akcentem, jakby jej obcem było wyrazu tego znaczenie.

— Wczora z wieczora miałaś mocną bardzo, około północy wzmogła się, a następnie słabnąć poczęła i nad rankiem, i oddech twój był już swobodny, i sen spokojny... Sen cię pokrzepił, serce?...

— Pokrzepił... — odrzekła echowym sposobem, patrząc szeroko otworzonemi oczami jejmości w oczy.

— Możebyś zjadła co... rosołku z kurczęcia trochę?...

— Och!... nie...

Ze słowem tem oczy zamknęła, nie dla tego jednak, żeby ją sen miał morzyć, ale dla wewnętrznej potrzeby ześrodkowania myśli, które bezładnie po głowie jej krążyły. Potrzebowała oraz zebrać wspomnienia. Daremnem jednak, jak się zdaje, był trud jej, odezwała się bowiem po chwili, jakby mówiła sama do siebie:

— Nie... nie wiem, co to się stało... Zmoraż to senna?...

Oczy otworzyła i rękę podnieść chciała, lecz siły jej znalazły się w niezgodzie z wolą. Ręka bezwładnie pozostała na pościeli; ona się gorzko jakoś uśmiechnęła i zapytała:

— Cyż ja się obudzę nareszcie?...

— Bóg z tobą... — odrzekła jejmość łagodnie. Spałaś, duszko, przed chwilą, nie śpisz już jednak...

Nieznajoma głową pochwiała z niedowierzaniem niby — westchęła i odrzekła:

— Niech tak będzie...

I zamanifestowało się na niej wysilenie, czy też omdlenie, wobec którego jejmość dalszej z nią zaniechała rozmowy. Dała jej jeszcze napoju i usunęła się. Chora wpadła w stan półsenny. Polepszenie porankowe, pospolite u zgorączkowanych, przeminęło. To drzemała, to mówiła od rzeczy. W bezładnej gadaninie padały jej często z ust wyrazy: wojewodzina, hetmanowa, Prokop, ślub, Tarnopol. Z tego wszystkiego wysnucie związku było niepodobnem. Kobiety zmieniały się przy niej: panią Maciejową zastępowała pani Elżbieta, tę ostatnią staruszka — siadały przy łóżku z robotą w ręku i posługiwały jej, nie wiedziały jednak z kim do czynienia mają. Na futorze robocizna szła trybem zwyczajnym; z wyjątkiem dzieci nie próżnował nikt, czynność zaś odbywała się z takim spokojem, jakby najmniejsze nie zagrażało niebezpieczeństwo. Nie dziw. Niepokój w obec możliwej napaści rabusiów neutralizowała perspektywa głodu w porze zi-

mowej. Ten ostatni przedstawiał się pod postacią tak groźną, że niebyło czasu w obawy się bawić. Kobiety, ile ich było, każda robiła swoje, dziad robił swoje, jegomość swoje. Rozpatrując się śród nich, uderzała osobliwość jedna, ta mianowicie, że nie było ani jednego mężczyzny w sile wieku, to znaczy, brakło gospodarstwu osobistości owej, co to stanowi oś, około której obraca się ruch cały. Jegomość, pan Maciej Małuski, wydawał wiek, w którym się już człowiekowi stan spoczynku należy — liczył lat sześćdziesiąt, jeżeli nie więcej, a chociaż wyglądał jeszcze cale krzepko, potrzebował już wyręczyciela, mając na barkach swoich odpowiedzialność za matkę, która jeszcze żyła, za żonę, którą znamy pod tytułem jejmości, za córkę, panią Elżbietę, po mężu panią Janowę Okiniczową, za wnucząt troje, za czeladkę, no, i za to, ażeby nie rozprzęgła się spoistość rodzinna pod uderzającemi w nią ciosami klęsk krajowych.

Pan Maciej, pomimo że urodził się i wyrósł na Pobereżu, nie był jednak miejscowym z pochodzenia. W strony te zabłąkał się z rodu Małuskich pierwszy ojciec jego, który go odumarł w maleńkości, pozostawiając mu w spadku ustne o procedencji rodowej podanie, które do wiadomości jego dostało się z ust matki. Podanie to odnosiło się do herbu i do okoliczności, skutkiem której powstało nazwisko. Pan Maciej wiedział, że się pieczętuje Jastrzębcem. Co się nazwiska tyczy, podanie pod następującą przedstawiła mu matka postacią: król Łokietek, zauważywszy rycerza pewnego, małego wzrostem, mężnie sobie w okazjach wszystkich poczynającego, rzekł do niego: »I ja maluśki, i ty maluśki, bądźże maluśkim.« Ztąd poszło Małuski — nazwisko rycerza owego, któremu król uczynił nadanie w dobrach ziemskich. Gdzie jednakże dobra te leżały, matka nie umiała panu Maciejowi powiedzieć. Nie umiała mu też powiedzieć, jak na imię było dziadowi jego. Polska szeroka; od czasów króla Łokietka upłynęło wody dużo; pan Maciej nie posiadał w ręku dokumentów żadnych: pozostał więc, jako nowa starego i może znakomitego szczepu gałąź przesadzona na grunt pobereski. Przeszłość jej rodowa stała się dla niego flotą spaloną. Rozpoczynał osobą swoją ród nowy i ochrzcił go, jak na szlachcica przystało, krwią; służył rycersko pod kilku hetmanami: pod Koniecpolskim, pod Mikołajem Potockim, pod Stanisławem Potockim; bywał w potrzebach; brał udział w życiu publicznem, wotując wraz ze szlachtą województwa Bracławskiego. Pojąwszy małżonkę, osiadł na gruncie własnym, który ojcu jego dostał się sposobem donacji, tak samo, jak się dostał Chmielnickiemu sławny ów Subotów, który się stał burzy wielkiej zaczynem, tak samo, jak wiele szlachty drobnej stawało się właścicielami majątków pomniejszych. Grunt jego dopierał do szlaku jedną stroną, do lasu drugą i stanowił jeden z owych posterunków naprzód wysuniętych, za pomocą których zdobycze pługa polskiego posuwały się ku ostatecznym rzeczypospolitej kresom. Był to posterunek na stracone. Znajdował się w obliczu nieprzyjaciela. Utrzymywanie się na nim należało do rodzaju istnych cudów, świadczących o niespożytości ducha postępu, zanoszącego ziarenka cywilizacyjne w okolice, w których utrzymanie się uważało się za rzecz niemożliwą prawie. Pan Maciej stał na posterunku z lemieszem i z orężem, znajdując się pod ustawiczną grozą utraty życia lub swobody. Uprawiał rolę dorywczo i czuwał nad bezpieczeństwem rodziny. To ostatnie przykuwało go do miejsca. Od czasu jak ojcem został, więcej pilnował roli aniżeli spraw politycznych, które zresztą w warunkach, w jakich się województwo znajdowało, musiały się na czas jakiś usunąć z areny publicznej w zacisze domowe i pozostawać w stanie zawiązku, mającego na nowo zakwitnąć kiedyś.

Położenie, w jakiem pan Maciej postawion był, zmuszając go zapatrywać się na sprawy publiczne z boku, pozwalało mu wydać o takowych sąd odmienny nieco od tego, jaki panował w sferach rządzących. Był to sąd, który nazwać się może subjektywnym. Widział błędy, albowiem błędy te odbijały się na nim; widział błędów przyczyny, albowiem niczego nie pragnął goręcej, jak pokoju, a zatem, usunięcia wszystkiego, co spowodowywało wojny, tak domowe, jak zewnętrzne. Wierzył mocno, że nadejdzie kiedyś pora upamiętania się i w oczekiwaniu na takową, trzymał się oburącz skiby ojczystej; pozostawał w zgodzie z ludnością, która go otaczała; hodował dziatki, których miał dwoje; córkę za mąż wydał; gdy zaś syn lat młodzieńczych dorósł, wyprawiał w razie potrzeby raz syna, znów zięcia, niekiedy zaś i syna i zięcia. Wówczas sam chronił się na futor.

Futor pana Macieja, albo raczej uroczysko, na którem się znajdował, nosiło nazwę Hrybek. Zdaje się, że nazwa ta dostała mu się od wielkiej ilości grzybów, zwanych *hrybami* w narzeczu ludowem. W istocie samej, las, we właściwej roku porze, produkował obfitość ogromną roślin tych pożywnych, przychodzących same przez się i porastających szczególnie w wądole, ukrywającym w sobie pierwsze źródło południowego ramienia Sawranki. W tym właśnie wądole leżał futor, otulony lasem dokoła; kryl się w parowie na przestrzeni takiej jeno, jaka potrzebną była do pomieszczenia chałupy obszernej, szopy, stajenki, spichrza i toku. Wszystko to znajdowało się w kupie, ogrodzone płotem wysokim, najeżonym ostrzeszkiem i wkluczającym w zakres obejścia i ogródek warzywny, który się rozlegał za chałupą i służył, nietylko do zaopatrywania rodziny w czostek, w cebulę, w pietruszkę, w mak etc., ale oraz i do zapewnienia jej odwrotu na wypadek napaści. Wzgląd ten ostatni odgrywał rolę bardzo ważną w urządzaniu mieszkań w epoce i w miejscu, do których się powieść nasza odnosi. W płocie przeto, w stronie odogrodowej, istniały przesmyki, zamaskowane bujnym burzanem, stanowiącym właściwość ogrodów podolskich i ukraińskich. Obecnie burzany służą do romansów, dla par rozkochanych; dawniej zaś służyły i do romansów, i do chronienia się w wypadku nagłym przed Tatarami. Za pierwszą trwogą rodzina, młodzież zwłaszcza, przedstawiająca zdobycze nader łakome, wpadała w burzany i ginęła w takowych przed okiem rabusiów, zyskując w ten sposób na czasie. W Hrybkach ta zachodziła osobliwość, iż za burzanami znajdował się las w odwodzie — tuż do płotu prawie przymykała gęsta leszczyna, tej zaś dopadłszy, już z Tatarów żartować można było. Dodać wszakże należy, iż ostrożności owe miały za racją główną przysłowie »Strzeżonego Pan Bóg strzeże.« Na futor Hrybki Tatarzy dostaćby się mogli w takim jeno razie, gdyby ich kto chyba naprowadził umyślnie.

Hrybki panowały w parowie, na staj parę w jedną stronę i na staj parę w drugą stronę. Dalej ciągnęły się futory inne, częścią w parowie, częścią na wyżynie. Pomiędzy temi większość znaczna dawała schronienie rodzinom chłopskim, część zaś miała pozór idący w niektórych aż do budy prostej gałęziami i liściem przykrytej. Znajdowały się też pomiędzy niemi i tak zwane *bordeje*, rodzaj nór w ziemi. Budy atoli i bordeje nie podciągały się pod nazwę futorów, które znamionowały trwałość zapewnioną na dłuższy czasu przeciąg. W niektórych przeczuwać się dawała wieś w przyszłości. W warunkach takich znajdował się np. futor, położony w uroczysku zwanem Pirożna, w takich znajdował się np. futor, pana Macieja. Ten ostatni stanowił już nawet ognisko, ku któremu ciężyło chat kilka: jedna za górką, w wyżłobieniu gruntu, obok darników graniczących z parumorgowym karczunkiem, na którym w tym roku zasianą była hreczka; druga nieopodal od zarostu brzozowego, dotykającego stroną jedną do obszernej polany; trzecia w głębi jaru idącego prostopadle do głównego parowu. Wszystkie one zależały od pana Macieja, na jego leżały gruncie, jego były własnością i dawały przytuliska rodzinom włościańskim, licznie z powodu obecności w kraju Tatarów zaludniającym las. W każdej chałupie mieściło się po osób kilkanaście, mianowicie dzieci i dziewcząt dorastających. Jedna tylko, ta co do darników przylegała, była mieszkaniem jednego człowieka, ale człowieka nie lada. Samym pozorem wzbudzał on trwogę, w dzieciach zwłaszcza, które na widok jego uciekały, niby przez jastrzębia spłoszone kurczęta i krzyczały:

— Did!... did!...

Chowały się za piece, tuliły się do matek.

Nic groźniejszego wyobrazić sobie nie można nad powierzchowność człowieka tego. Oznaczyć wiek jego z pozoru było rzeczą trudną. Przypuszczać należało, że liczył lat więcej jak pięćdziesiąt, mniej jak sto — czy jednak zbliżał się bardziej do pięćdziesięciu, aniżeli do stu, pozostawało to zagadką, której i on sam rozwiązaćby ponoć nie potrafił. Jednę z ważniejszych we względzie tym przeszkód stanowiło to, że się oczy jego dojrzeć nie dawały. Spo-

czywały one w głębi orbitów, zamaskowane nawisłemi brwiami i połyskiwały jeno w złowrogi jakiś sposób. Nad brwiami wznosiło się czoło w głębokie poorane bruzdy. Niżej sterczał nos orli. Pod nosem wąsy krzaczyste zlewały się z brodą rzadką i jakby wyskubaną, która nie maskowała piersi wydatnych, włosem gęsto zarosłych i tak latem jak zimą obnażonych. Do tego dodajmy wzrost słuszny, kompleksją kościstą, postawę pochyloną nieco pod lat ciężarem i składający się z postołów, z chołoszni, z burej, skórzanym pasem opasanej swity i z nieopuszczającej nigdy głowy czapki baraniej ubiór, a będziemy mieli obraz starca, mieszkającego samotnie w chacie na darnikach.

Prawda, że była to chatyna mała: sień i izba jedna — sień taka, że się w niej ani obrócić, izba w której miejsca swobodnego pozostawało tylko drugie tyle, co zajmowały razem piec i łóżko; ale w czasach ciężkich, jakie Pobereże dotknęły, nie było miejsca dosyć szczupłego, gdy chodziło o przytulenie chroniącej się przed najezdnikami ludności. Chałupy najmniejsze rozszerzały się niejako same przez się. Gdzie było dla osób pięciorga nie nader obszernie, tam się i piętnaścioro mieściło. Szukających schronienia kręciło się mnóstwo wielkie; nikt atoli nie zapukał do drzwi chałupy na darnikach; starzec pozostawał w osamotnieniu; nie obchodziło go nic, nie troszczył się o nic, z wyjątkiem pszczół, które, zdawało się, całkowicie uwagę jego pochłaniały. Wystawić ule na wiosnę, w jesieni do temnika je schować, od kwietnia do listopada pędzić czas na struganiu, wierceniu, podrzynaniu i podkopywaniu, na syceniu i zbieraniu rojów, od listopada do kwietnia na zapiecku, ruszając się na to jeno, ażeby ciepło w izbie w jednym utrzymywać stanie: oto, co go obchodziło — zresztą nic. Do nikogo nie gadał nawet, z wyjątkiem pana Macieja, i to o niczem innem, jeno o pasiece, która pana Macieja własnością była. Z wyjątkiem też tego ostatniego, nikt nie wiedział, co on za jeden. Pasiecznik i tyle! Po bliższych i dalszych futorach nie nazywano go inaczej jak »pasiecznikiem z Hrybek« i nie wiedziano wcale, czy i jakie posiada imię. Imię zresztą nie bardzo tam kogo obchodziło, oddanie zaś mu pasieki w zawiadowstwo poczytywano jegomościowi za dowód dowcipu.

— Mądry Laszek... — powiadano — dobrał sobie na pasiecznika takiego, przy którym charakternika chyba potrzeba, ażeby się ośmielił na kradzież ulów się puszczać.

W rzeczy samej, pasieka pod opieką starca pozostawała w bezpieczeństwie niebywałem przedtem. Dawniej, kiedy pasiecznikowali inni, rok rocznie procent jakiś na złodziei odchodził. Od czasu, jak nastał starzec bezimienny, to jest od lat pięciu, nie przepadł ul ani jeden.

Od czasu też onego zaszła okoliczność pewna, która, gdyby nie zaburzenia trzymające umysły w zajęciu ustawicznem, nie byłaby przeszła niepostrzeżenie. Okoliczność ta odnosiła się do niejakiego Szpaka, o którym cuda opowiadano. Pobereże brzmiało imieniem jego. Była to znakomitość miejscowa, znana z imienia wzdłuż od Bałty do Bracławia, wszerz od Raszkowa do Berszady. Znakomitość ta znikła nagle, jakby się w ziemię zapadła, i to w chwili, gdy chodzić poczęły słuchy, że Szpak wystąpi na szerszem działania polu, podejmując osierociałą po Chmielniczence buławę. Gadano, że on się na Sicz udał, a on—przepadł. Domyślano się przeto, że go djabeł żywcem z powierzchni ziemi zabrał, niczem bowiem nie zaassekurował się przeciwko ewentualności podobnej: ani cerkwi nie budował, ani obrazów nie kupował, ani świeczek nie stawił; żył jak poganin prawdziwy; przepadł bez wieści.

Wspominamy o tem, nie dlatego jednak, ażebyśmy domysły jakieś tworzyć mieli, wysnuwając takowe z prostego zbiegu faktów: zniknięcia Szpaka z oblicza ziemi i nastania starca w pasiece jegomości. Zbieg ten był może przypadkowym. Nie wiemy. Opowiadamy co i jak działo się w okolicy, służącej za teatr opowiadania naszego, nie pomijając rysów, nadających się do scharakteryzowania fizjognomii momentu i społeczności. Pasiecznik był postrachem dzieci, postrachem, który dzieciom udzielał się od starszych, i nawzajem, starszym od dzieci. Postrachy wszelkie taką idą koleją. Może i ze sławą Szpaka toż samo się działo. Szpak posiadał sławę charakternika: kula się go nie imała, szabla nie chwytała, spisa przebić w stanie piersi jego nie była; spodziewano się, że gdy śmierć go zabierze, to upiorem z grobu wstanie; tymczasem przepadł i nie pojawiał się upiór jego, ztąd też wnioskowano, że spotkał go los wręcz przeciwny temu, jaki spotkał świętego Eliasza. Jak święty ten żywcem do nieba się dostał, tak Szpak *w preispodniuju*, to znaczy, na dno samo, po same uszy. Strach, jaki on wzbudzał, przeszedł na pasiecznika. Ten, być może, pomiędzy jednym a drugim zachodził związek.

Strachowi temu atoli nie ulegał pan Maciej, nietylko bowiem staremu pasiekę powierzył, ale nie lękał się go w takowej od czasu do czasu nawiedzać. Nie bywało pomiędzy nimi rozmowy innej, jak o pszczołach, ulach, o podkopach, o miodzie. Niekiedy tylko, na odchodnem, jegomość rzucał pytanie:

— Nie trzeba ci tam czego?...

— Niczego... — była odpowiedź, jedna zawsze i taż sama, dawana zwykle pomrukiem, znamionującym niecierpliwość.

Po śniadaniu, o którem wzmiankowaliśmy powyżej, przerwanem chrząknieniem nieznajomej, jegomość, założywszy za pas poły od żupana, przykrywszy głowę kapuzą i wziąwszy w rękę kij sękaty, wyszedł za wrota, obejrzał się, i udał się przez górkę do pasieki, która nie roiła się już, stała jednak jeszcze na pniu. Pszczoły ciągnęły jeszcze pożywienie z kwiecia jesiennego. Starzec siedział przed chałupą na przyźbie, wystawionej na działalność słońca wschodzącego — wygrzewał się. Sprawiało mu to rozkosz widoczną. Nastawiał się słońcu niejako ramieniem raz jednem, znów drugiem. Ujrzawszy pana Macieja przed sobą, nie ruszył się. Na pozdrowienie odpowiedział pomrukiem. Jegomość, popatrzywszy na niego przez chwilę, usiadł obok na przyźbie.

— Cóż tam mucha?... — zaczął.

— Idzie jeszcze...

— Robi?...

— I... co to za robota! — ręką od niechcenia machnął.

— Z plastrów jednak nie ubywa...

— Nie widać tego... Ona (mucha) to tam coś przynosi...

— Hm... — mruknął jegomość, głową wstrząsnął i po chwilce zaczął: — ot przychodzę do ciebie w celu przypomnienia ci obietnicy...

— E?... — odezwał się starzec, nie ruszając się z miejsca i nie okazując bynajmniej, aby słowa jegomości wrażenie jakoweś na niego wywarły.

— Mówiłeś, żeś gotów w przygodzie mi stanąć, ile razy zapotrzebuję...

— Prawda...

— Wiesz, że czambuł ciągnie...

Starzec głową kiwnął.

— Nasi mu na przełaj zabiegają... Czambuł nocował w Popieluchach, nasi w Rozbójnieńskim lesie... Ostap poszedł na przewodnika... no, że on przeprowadzi jak należy, o tem nie wątpię, ale...

Starzec brwi zmarszczone zmarszczył jeszcze mocniej. Jegomość dodał:

— W partji tej znajduje się mój Jurek...

— Cóż to za partja?

— Piatyhorców chorągwi dwie i kozaków sotni cztery.

— Ano...

Wstał, ramiona podniósł, wstrząsnął się, jakby zimno mu przez plecy przeszło, na słońce z ukosa spojrzał i odszedł, nie rzekłszy ani słowa więcej.

Jegomość pozostał na przyźbie; posiedział troszkę, następnie wstał, zamknął od chałupy drzwi, które pasiecznik otworem zostawił, udał się pomiędzy ule, pochodził, popatrzył tu i ówdzie i na futor powrócił.

Do południa pozostawało jeszcze czasu kawał. Krzątanina około gospodarstwa szła zwyczajnym trybem, z tą jeno odmianą, że kobiety odbywały kolej przy chorej, która w momencie wzmożonej około południa gorączki, korzystając niejako z sił gorączkowych, okazała chęć ubrania się. Przemawiała do Franusi jakowejś, której, na łóżku usiadłszy, kazała sobie włosy czesać. Pani Maciejowa z ochotą rolę Franusi na siebie wzięła i przy pomocy pani Janowej rozplotła nieznajomej warkocze, oczyściła takowe z napełniających je bodziaków, wyczesała, zaplotła, około głowy obwinęła, obmyła jej twarz i gors, włożyła na nią bieliznę czystą, obmyła jej nogi i ręce, zabrała jej bieliznę i odzież — bieliznę cienką, odzież z kosztownej i nowej, lecz sponiewieranej materji — i tyle właśnie na to czsu miała, ile w nieznajomej trwał stan ekscytacji gorączkowej. Po przejściu stanu tego, chorę niemoc owładnęła. Upadła na poduszki; niebawem zasnęła. Obmycie jej jednak było dla niej dobrodziejstwem wielkiem. Zdaje się, ja-

koby instynkt samozachowawczy sprowadził na nią tę ekscytacją, co jej użyczyła sił dostatecznych do wytrzymania operacji ablucyjnej, za pomocą której, przez zdjęcie z niej warstwy kurzawy, przywróconą została skórze jej zdolność funkcjonowania naturalnie w życiowym procesie. Było to dla niej dobrodziejstwem, którego następstwa okazały się niebawem. Przespała się i w godzin parę po południu obudziła się, rzeźwiejsza niż rano. Zażądała pić. Pani Maciejowa podała jej wody berberysowej i zapytała:

— A nie zjadłabyś, serce, rosołku łyżek parę?...

— Rosołku... — odrzekła. — Nie wiem ja... Może...

Nagle krzyknęła:

— Ach!... Jezu, Marja, Józefie święty!...

Okrzyk ten sam powtórzyła za nią pani Maciejowa.

Z izby pierwszej słyszeć się dał głos staruszki, która w następujące odezwała się słowy:

— Módlmy się... Litanią do świętego Michała, Archanioła, wodza hufców niebieskich, orędownika rycerzy chrześcjańskich... Kirje elejson, Chryste eiejson...

Powodem okrzyków nieznajomej i pani Maciejowej i wezwania do modlitwy starej pani Małuskiej, stał się nagle huk, pochodzący od gęstego z broni ręcznej strzelania. Huk nie wydawał się nader oddalonym. Echa, odbijające się w parowach leśnych, potęgowały rozgłos onego. Strzelanie nie mogło oznaczyć czego innego, jeno bitwę, toczącą się gdzieś w pobliżu.

Na futorze odbyła się scena malownicza i rzewna. W izbie pierwszej, przed zawieszonym na ścianie obrazem Matki Zbawiciela, klęczała staruszka, wyciągnęła do obrazu dłonie złożone i mówiła głośno modlitwę. Odezwom jej do świętego Michała wtórowała mocno wnuczka, klęcząca obok w otoczeniu trojga białowłosych dziatek, dwóch chłopczyków i jednej dziewczynki. Na progu od alkierza klęczała synowa. Na łóżku chora kobieta dłonie złożyła, oczy szeroko otwarła i słabym głosem »wysłuchaj nas« powtarzała. Do izby pierwszej co moment wpadała przerażona jedna z niewiast do czeladzi należących i wnet na kolana padała. Nakoniec weszli dziad, a za dziadem jegomość i przy drzwiach uklękli. Za sprawą staruszki ośmdziesięcioletniej, izba zmieniła się w świątynią, z której przed tron Najwyższego gorące, namaszczenia pełne i szczere płynęły modły. Staruszka w piersi się biła, wołając głosem wzruszonym, acz silnym:

— Swięty Boże, święty mocny, święty a nieśmiertelny, błogosław orężowi rycerstwa, walczącego w obronie ziemi własnej!...

Huk wystrzałów bezustannie słyszeć się dawał, niekiedy tak silnie, że dzwoniły szybki w okienkach malutkich, przez które do izb światło się dostawało.

Modlitwa zakończyła się pierwej, niż bitwa. Staruszka przeżegnała się, z klęczek wstała i rzekła:

— Będą ranni... Przygotować należy plastry i przynieść bieliznę starą...

Kobiety wnet ruszyły w celu spełnienia rozkazu tego. (C. d. n.)

PAMIĘTNIKI POWSTAŃCA

z 1863 i 1864 r.

Przejrzał i przypisami uzupełnił

ZYGMUNT LUCJAN SULIMA.

KSIĘGA PIERWSZA.

BOŃCZA.

(Ciąg dalszy.)

IV.

Treść: Dzianot w kłopocie — Oksiński w Maluszynie — wiadomości o Moskwie — rekonesans — marsz do Przedborza i bitwa — odwrót — popłoch w Skotnikach — moje myśli — stan oddziału — rozpuszczenie go w Belnie — mój przyjazd do Piotrkowa — dom rodzicielski — Warszawa — obóz Chmielińskiego — Taczanowski pod Ignacewem.

Po wymarszu z obozu Chmielińskiego, resztki ładu i porządku rozprzęgły się w naszym oddziale. Wszyscy chcieli rozkazywać a nikt słuchać, panował najzupełniejszy bezład i anarchia. Każden projektował i robił jak mu się podobało, jak mu było dogodniej — wielu było i takich, którzy uważali za stosowne zakończyć karjerę wojskową i szereg ciągłych poświęceń dla ojczyzny. Nieszczęśliwy nasz rotmistrz formalnie nie wiedział co czynić, jaką sobie dać radę i przemyśliwał tylko nad tem, jakby zrzucić ze siebie ten przykro-zaszczytny obowiązek. W tem ogólnem rozprzężeniu i chaosie przybyliśmy do Oleszna — tam przenocowawszy, ruszyliśmy dalej do Maluszyna, majętność i hr. Ostrowskiego. Tutaj przybył do nas z Krakowa wysłany w charakterze dowódzcy pan L***, a wkrótce nadciągnął ze swym oddziałem Oksiński, ale w tak opłakanym stanie, w takim nieładzie, że my przy całym swym nieporządku, wyglądaliśmy prawie wzorowo. Szczególniej kompania kosynierów, na wpół nagich, wynędzniałych, wzbudzała litość — byli to ludzie zawczasu skazani na śmierć, nie mając nawet satysfakcji użyć swego oręża, zwykle bowiem wystrzelano ich wprzódy, nim mogli oddać jaką korzyść swemi kosami.

W nocy tego samego dnia, odbieramy wiadomość, że Moskwa wygnana z Kielc i Piotrkowa okrąża nas w około. Zrobił się alarm w całym obozie. Postanowiliśmy trzymać się wspólnie z Oksińskim i dzielić jego dobrą i złą dolę. Wysłany rekonesans pod wodzą przybyłego pana L***, składający się z 20 ludzi, w liczbie których i ja byłem, na świtaniu pod Nieznanowicami około Włoszczowy, wpadł na przedzie czaty jenerała moskiewskiego Czengiery, idącego z Kielc. Cofając się pospiesznie i odstrzeliwając napadającym nas kozakom, schroniliśmy się do lasu. Przybywszy z powrotem do Maluszyna, dowiedzieliśmy się, że Oksiński z całym oddziałem, wymaszerował w kierunku Przedborza, a rotmistrz Dzianott, z kawalerją odłączył się i znajduje się w starej wsi za Olesznem. Podążyliśmy tam i znaleźli rotmistrza rzeczywiście, ale zaniepokojonego w wysokim stopniu odebranemi wiadomościami o nadciągającej Moskwie od Piotrkowa.

Na drugi dzień rano, a było to zdaje się 23. czerwca, wyruszyliśmy lasami na Przedbórz chcąc połączyć się z Oksińskim, lub przerżnąć w stronę Złotego Potoku. Przybywszy do wsi Ręczna, ledwie popuściliśmy popręgów koniom, gdy dano nam znać, że Mokwa tuż za nami i w istocie niedługo ujrzeliśmy pokazujących się na polu kozaków. Wyruszyliśmy kłusem — dzień pamiętam był parny, ołowiane chmury pokrywały niebo, a krwawe błyskawice od czasu do czasu pruły niebiosa. O zmroku przybyliśmy do Przedborza, gdzie już zastaliśmy Oksińskiego fortyfikującego się w mieście. Głównem zadaniem było obsadzenie mostu na Pilicy, jako jedynego punktu, przez który Moskwa ciągnąca z Piotrkowa mogła dostać się do miasta. Ledwieśmy stanęli na rynku, gdy przednia straż Czengierego, złożona z kozaków i dragonów, już była pod miastem — a niebawem nadciągająca piechota moskiewska rozpoczęła silny ogień rotowy. Ulokowani za zabudowaniami, byliśmy najzupełniej zabezpieczeni i tylko świst przelatujących nad nami kul, więznących w dachach i kominach przypominał nam, że się toczy walka. Noc nastała zupełna i była tak ciemna, żeśmy na dwa kroki przed sobą nic dojrzeć nie mogli, tylko błyskawice i wystrzały karabinowe rozwidniały nasze położenie. Na raz usłyszeliśmy huk armatni, jeden, drugi i trzeci — był to sygnał jenerała Redena nadciągającego z Piotrkowa, uwiadamiającego Czengierego o swojem przybyciu. Na hasło to piechota Oksińskiego broniąca mostu, odpowiedziała gęstemi wystrzałami, na oślep gdyż nic wskutek ciemności nie mogła widzieć. Z drugiej strony usłyszeliśmy przeciągłe: hura! żołnierzy Czengierego, gotujących się iść do szturmu. Otrzymaliśmy rozkaz do marszu i wśród sięgających nas kul, straszliwej ciemności, wyruszyliśmy jedyną drogą, jaka była wolna, do Czermna. Uszedłszy ze dwie wiorsty, weszliśmy w las, nie będąc wcale niepokojeni przez nieprzyjaciela, który ze swej strony nie znając ani pozycji, ani sił naszych nie bardzo nacierał i jak się to później okazało, poprzestał ognia i dopiero nad ranem wszedł do miasta.

Co się zrobiło z Oksińskiego oddziałem, jaki był koniec stojącej na moście i w mieście piechoty, a równie jaki walka przybrała później charakter — nie wiem*). Prawdopodobnie piechota nasza cofnęła się również i tą samą drogą co my, wyszła z miasta i schroniła się w sąsiednim lesie. Było to podobno tak, że piechota moskiewska od strony Piotrkowa, nie zważając na piekielną ciemność, weszła na most i po żwawej utarczce, spędziła bagnetem naszych powstańców, którzy obawiając się napadu z tyłu oddziału Czengierego, spiesznie się cofnęli. Piechocie Oksińskiego przewodniczył jakiś francuski żuaw Chabriol, którego komendy nikt nie mógł zrozumieć.

W Czermnie strudzeni do wysokiego stopnia, głodni i przemoknięci, deszcz bowiem w czasie rejterady, lunął jak z cebra — legliśmy na spoczynek, zabezpieczywszy się na wszystkie

*) Oksiński ze swoim oddziałem późno już w nocy wycofał się drogą na Bąkową Górę — i nazajutrz w południe miał utarczkę pod Trzebnicą. (przyp. wydawcy.)

strony pikietami. Nazajutrz przededniem jeszcze, wymaszerowaliśmy do Falkowa, a ztąd z powrotem do Ręczna. W. Ręcznie zalarmowała nas nadciągająca Moskwa, która rzeczywiście nas ścigała, po małem przeto wytchnięciu, ruszyliśmy ku Skotnikom i tu w lesie, natknęliśmy się na rozbitków Oksińskiego i cząstkę naszych kawalerzystów. Piechota była znacznie uszczuplona, już to zabitymi i rannymi, już to zbiegostwem nieodłącznem od każdej potyczki. Zaledwie zeszliśmy z koni i rozkulbaczyli takowe, gdy pada strzał na pikiecie, a nie długo widzimy pędzącą i samą pikietę z wiadomością, że Moskale wchodzą już do lasu. W obozie panował największy nieład. Czy to skutkiem zaufania, że Moskwa nie odważy się wejść do lasu, lub też poprzestając pogoni cofnęła się zupełnie, dosyć że obóz znajdował się w największym nieporządku — ludzie spali po rozmaitych kątach — kotły nastawione z żywnością i furgony znajdujące się w największym nieporządku na wązkiej drożynie, nie pozwalały ani myśleć o sformowaniu szeregów, mianowicie kawalerji. Piechotę tylko i to z wielkim trudem jako tako sformowano, dzięki przytomności Chabriola i Lüticha. Oksiński sam zupełnie stracił przytomność. Piechota więc na chwilę powstrzymała nacierającą Moskwę — przez ten czas uprzątnięto furgony wysyłając je naprzód — a kawalerja tak Oksińskiego jak i nasza, zdołała okulbaczyć konie i siąść na takowe. Zaczęliśmy się cofać w głąb lasu w zupełnym porządku, czwórkami, gdy naraz ktoś krzyknął, że Moskwa na przodzie! Ostatki porządku i przytomności zniknęły, paniczny strach ogarnął wszystkich, w największym popłochu kawalerja pomięszana z piechotą, tratując jedni drugich, niesłuchając rozkazów, w ucieczce widziała swe ocalenie. Opłakanego tego stanu nie jestem w możności opisać, nie wiedząc gdzie się znajduję i nie będąc pewny czy nie wpadnę na Moskali, puściłem się na chybił trafił jakąś drożyną w las, co raz gęstszy, słysząc za sobą ciągłe strzały i wycia kozackie. Za mną szorowały dwa furgony i kilku kawalerzystów. Pędząc tak z półgodziny wpadliśmy nareszcie w taki gąszcz, że niepodobna nam było dalej postępować, ile że i drożyna się kończyła. Stanęliśmy a nie słysząc żadnego za sobą tententu, ani strzałów, postanowiliśmy odpocząć nieco, tembardziej, że i konie tego gwałtownie potrzebowały. Dopiero teraz spostrzegliśmy, kto z kim umykał — było nas trzech kawalerzystów Bończy i dwóch Oksińskiego, oprócz tego dwa furgony napełnione bronią i innemi wojskowemi rekwizytami.

Złożyliśmy walną naradę co dalej czynić — czy dłuższy odpoczynek będzie tu bezpieczny lub nie? a nie znając zupełnie położenia i bojąc się wpaść na Moskwę, umyśliliśmy przenocować tu, gdzie nas fatalne losy zagnały, tem bardziej że, żywności jak dla koni tak i dla siebie mieliśmy podostatkiem na zmykających z nami furgonach.

Po dwóch miesięcznem spokojnem włóczeniu się z Bończą, raptownie następujące po sobie wypadki, jak śmierć jego, zajście z Chmielińskim, bitwa pod Przedborzem i ostateczna rozsypka pod Skotnikami, przywiodły mię do jakiegoś szczególnego usposobienia, tak że nie wiedziałem co dalej będzie, czy to już koniec powstania i co mam czynić nadal. Marząc tak wśród cichego szumu odwiecznego lasu, mając nad sobą niebo a za poduszkę pień jakiś zmurszały, zacząłem dochodzić do tego przekonania, że karjera moja powstańcza już jest skończona, że myśli o świetności i potędze po smutnem rozczarowaniu, w obec bezsilnej naszej słabości, są tylko marzeniami i fikcją, że pokuszenia o wywalczenie orężem niezawisłości jest szaleństwem i prowadzenie dalej wojaczki byłoby śmiesznym Donkiszotyzmem, znaczącym tyle co porwanie się z motyką na słońce. Marzenia te, czułem że ostudzały mój młodzieńczy zapał i chwiały ostatkiem wiary w pomyślność naszej sprawy, rozpoczętej na fundamentach tak wątłych i nikłych, że lada spisa kozacka mogła je ze szczętem obalić i zrujnować. Lecz z drugiej strony co robić z sobą? jaki punkt wyjścia dla wszystkich skompromitowanych? powrócić do domu, było to samo co narażać się na podróż do Syberji lub śmierć pod batami. Pozostawały dwie ostateczności: dalsze włóczenie się po kraju, w oczekiwaniu jakich okoliczności, które wyzwoliłyby nas z tego smutnego położenia, lub pewną niewolę moskiewską. Wybrałem pierwsze, rachując na szczęśliwe losy i pomoc choćby z nieba!

Na drugi dzień wyruszyliśmy ostrożnie, zostawiwszy w lesie furgony i po półgodzinnem przedzieraniu się przez gąszcze i krzaki, wydostaliśmy się na czyste pole a zobaczywszy wieśniaka, spytaliśmy go się: co to za wieś widać? — To Czermno panowie! Przytem objaśnił, że Moskale pociągnęli jedni do Kielc a drudzy do Piotrkowa. Przybywszy do Czermna, ledwie zasypaliśmy koniom obrok, gdy ostrzeżono nas, że Moskwa o dwie wiorsty od nas stoi, mianowicie w Falkowie. Ruszyliśmy natychmiast lasami ku Rudzie Pilczyckiej, i w Skórnicach, w gęstym lesie, w chałupie gajowego, zatrzymaliśmy się na nocleg. Tu przepędziliśmy cztery dni, aż nas uwiadomiono, że okolica jest zupełnie oczyszczona od nieprzyjaciela, a nawet, że możemy połączyć się z niedaleko stojącym oddziałem jazdy. Dano nam przewodnika i o pół mili w lesie, znaleźliśmy naszych niedobitków. Nie można sobie wyobrazić gorszego i smutniejszego położenia; z tego tak niedawno ładnego oddziału pozostało zaledwie 50 ludzi, obdartych, na zbiedzonych koniach, bez najmniejszej karności i z oznakami głębokiego zniechęcenia i upadku moralnego. Przed paru dniami napadł ich w Oleszniе Czengiery i ostatecznie rozbił i rozprószył. Utracili wówczas furgony, na których znajdowała się amunicja i przybory wojenne, oraz kilkanaście koni z zupełnem kawaleryjskiem umontowaniem.

Po parodniowym odpoczynku, wyruszyliśmy w Opoczyńskie i pod wsią Belno, około Żarnowca, rotmistrz Dzianott oświadczył nam, że w obecnem położeniu, nic innego nie pozostaje jak ukryć broń, konie rozesłać po dworach a samym się rozejść i oczekiwać szczęśliwszych okoliczności — tem bardziej, że w pobliżu o oddziałach powstańczych nigdzie nie słyszeliśmy. Tak też i uczyniono. Broń swoją, wyborny gwintowany pistolet, szablę i rewolwer systemu Lefauché, ukryłem u jednego obywatela wraz z koniem, a sam dostawszy cywilne ubranie, puściłem się z kolegą Z*** ku Piotrkowu, mając zamiar przebrać się do domu lub w Kaliskie, zkąd nas dochodziły świetne wieści o zbrojnych oddziałach Calliera i Taczanowskiego.

Pod Włoszczową omal cośmy nie wpadli Moskalom w ręce, bliskość lasu jedynie nas zachowała. Po trzechdniowej podróży, zaopatrzony w paszport przez jakiegoś wójta (kolega mój pozostał pod Piotrkowem), dostałem się do Piotrkowa. Tutaj ze skromną miną przesuwałem się po ulicach starożytnego grodu, napełnionego Moskwą, niepodejrzewającą, że mają takiego u siebie gościa, któremu by z chęcią założyli stryczek. Wydali bowiem rozporządzenie: wszystkich z oddziału Bończy, jako żandarmów wieszających, wieszać. Zastałem tu mnóstwo niewolnika — trzymali ich w rynku, w domu Horowicza. Byli to po większej części zabrani z oddziałów Oksińskiego pod Przedborzem, liczono ich około 200.

Tego samego dnia jeszcze, nie nadużywając zaufania nieprzyjaciół, siadłem na pociąg i wieczorem byłem w objęciach rodziców, którzy mnie, mianowicie matka, opłakała, słysząc o rozbiciu Bończy, gdzie wiedzieli, że się znajduję. Na wstępie ojciec mi oświadczył, że nie widzi dla mnie żadnej pewności w domu, gdyż o wyjściu mojem do powstania wiedzieli wszyscy i bardzo łatwo mógł mnie ktoś wskazać patrolującym często kozakom. Na drugi dzień wyjechałem do Warszawy, którą zastałem na stopie wojennej — gęste patrole — namioty napełnione żołnierstwem na wszystkich placach, ciągłe aresztowania, jakaś ciężkość w powietrzu i smutne twarze, przesuwające się pojedyńczo po ulicach, oto obraz tego wesołego i gwarnego miasta. Zabawiłem tu kilka dni, chowając się po znajomych, a rozpytywany o bieg i postęp powstania, nie taiłem smutnej prawdy, że jak dotychczas jest bardzo źle. Nie widząc dla siebie bezpieczeństwa, jak również i celu dłuższego siedzenia, postanowiłem powrócić w Krakowskie i nie wstępując już do rodziców, ograniczywszy się jedynie na listownem ich powiadomieniu o moich zamiarach, wyjechałem z Warszawy koleją żelazną do Piotrkowa, a ztąd niezaczepiony nigdzie, wyruszyłem niezwłocznie ku Kielcom i na trzeci dzień przybyłem do Kozłowa pod Włoszczową. Tu dowiedziałem się, że Chmieliński od tygodnia, z dosyć znacznym oddziałem piechoty i kawalerji, stoi pod Jędrzejowem w lasach Chlewskiej Woli i że niedawno miał bitwę pod Rudnikami, z której szczęśliwie i nadspodziewanie dobrze wyszedł.

Nie namyślając się długo, tego samego dnia już znajdowałem się w obozie Chmielińskiego, gdzie zastałem bardzo dużo kolegów z oddziału Bończy. Oddział Chmielińskiego uformował się z rozbitków Oksińskiego, Czachowskiego, a nawet z tamtej strony kolei, z kaliskiego, z oddziału Taczanowskiego, rozbitego pod Ignacewem.

Oto są szczegóły, opowiadane mi przez naocznych świadków bitwy pod Ignacewem, jednej z największych w powstaniu. Oddział Taczanowskiego doszedł do 3000 ludzi, głównie piechoty. Wiedząc o wyjściu jenerała Kostandy, także z trzema tysiącami ludzi i artylerją, Taczanowski postanowił przyjąć bitwę. W tym celu pod Ignacewem, oparłszy się tyłem o las, a z przodu zasłoniętym będąc umyślnie wykopanym rowem, oczekiwał nieprzyjaciela. O 12tej zaczęła się bitwa. Moskale spostrzegłszy gotowość powstańców do obrony, zastanowili się chwilę, podejrzywając w tej stanowczości lub wielkie siły, lub jakiś ukryty fortel. Puścili kilka granatów, z których jedne albo przenosiły, albo też nie dochodziły obozu powstańców, nie czyniąc im wielkiej szkody. W trakcie tego wysłany przez Kostandę rekonensans doniósł, że las, o który się oparli powstańcy, jest niewiel-

ki i parę rot posłanych z tyłu zastraszyłoby buntowników i zrobiło wielką dywersją w ich obozie. Pomysł był dobry i Kostanda, dla zamaskowania swoich obrotów, kazał piechocie niby iść do ataku — dwie roty zaś i parę szwadronów kawalerji jednocześnie z tem odprawił na zajęcie tyłów. Powstańcy słysząc: hura! i widząc idących do ataku piechurów, przypuścili ich na 800 kroków i wtedy rozpoczęli rzęsisty ogień. Kostanda kazał trąbić do odwrotu i wnet szeregi jego zaczęły się cofać. Widząc to powstańcy, wyszli ze swoich szańców i zaczęli się posuwać za uciekającymi, nie zwracając uwagi na las, z którego zdawało się, że żadne nie grozi niebezpieczeństwo. Naraz usłyszeli za sobą strzały i wnet piechota moskiewska zaczęła się wysuwać i rozsypywać w tyraljerkę. Krzyk: Moskale w tyle! rozniósł popłoch w szeregach, zaczęli się chwiać, mięszać i już już przychodziło do ogólnej ucieczki, grożącej kompletnem rozbiciem, gdyby nie przytomność jednego z kapitanów piechoty, który skierował cały oddział jedyną drogą swobodną, to jest w bok lasu, utrzymując ciągle silny ogień i nie pozwalając się zupełnie otoczyć. Artylerja moskiewska, mając teraz przed sobą powstańców na otwartem polu, poczęła ich obsypywać kartaczami — trup szedł gęsto — jednakże w porządku nadspodziewanym, odstrzeliwając się z jednej i drugiej strony, i z groźną postawą udało się Taczanowskiemu wycofanie bokiem lasu — jedna tylko kompanja, pozbawiona oficera, który zginął w samym początku bitwy, cofnęła się w stronę przeciwną, i wpadłszy na ukrytą w lesie Moskwę, została prawie zupełnie zniszczoną. Noc przerwała dalszą utarczkę — bitwa ta trwała sześć godzin i padło z naszej strony około 200 ludzi — drugie tyle dostało się do niewoli. Moskale stracili w zabitych i rannych także ze 200 ludzi.

Taczanowski, którego nieprzyjaciel przestał ścigać, o kilka wiorst dalej położył się obozem. Ludzie sześciogodzinną bitwą byli bardzo znużeni i za przybyciem na miejsce pokładli się spać; nie sądzono bowiem, aby Moskwa miała ochotę dalej ich ścigać. Tymczasem o godzinie drugiej w nocy padły strzały — piechota moskiewska była od uśpionych najdalej o 300 kroków. Nie pomogły rozkazy i zaklęcia dowódców, chcących zaprowadzić jakiś porządek, co wreszcie w nocy arcy było trudnem — rozpoczęła się więc ucieczka. Dużo biegło na oślep na bagnety moskiewskie — a inni rozpierzchli się w różne strony. Wszystkie bagaże, furgony, masa broni wpadła w ręce Moskali. Był to ostatni oddział piechoty powstańczej w kaliskiem. Taczanowski ocaliwszy się w ogólnej ucieczce, schronił się zagranicę, zkąd później wrócił objąć komendę nad kawalerją, najsilniejszą w powstaniu, bo liczącą 2000 ludzi — a rozbitki ocalałe z pod Ignacewa rozbiegły się po całym kraju — spokojniejsi i więcej umiarkowani do domu, a zapaleńcy i awanturnicy do innych oddziałów. Dużo ich było w obozie Chmielińskiego, którego dzieje i tragiczny koniec przyjdzie nam teraz po szczególe opowiedzieć.

Koniec księgi pierwszej.

(C. d. n.)

O PRASIE PROWINCJONALNEJ

napisał

MARCELI TURKAWSKI.

Zaiste w nader smutnych i bolesnych żyjemy obecnie czasach w Galicji, gdzie ogólna nędza, spowodowana z jednej strony brakiem obrotowego kapitału, rokrocznie powtarzającymi się wylewami nieuregulowanych rzek, nieurodzajami i wyniszczeniem ogromnych obszarów leśnych, a z drugiej nieoględnem gospodarstwem większych właścicieli ziemskich, wywołała w całem tego słowa znaczeniu kryzys majątkową, która brzemieniem wszechwładnem spoczęła jakby dusząca zmora na całym ogóle. Przerażający to obraz naszego życia, skoro obywatelstwo większe, przyciśnięte długami, przymusowo wysprzedaje bogate dobra ojczyste, klasa średnia, urzędnicza, ze szczupłej płacy ledwie wyżywić zdoła swe rodziny, kupcy i przemysłowcy na niesłychaną dawniej stagnację interesów się użalając częstokroć bankrutować muszą, właściwe mieszczaństwo i rękodzielnicy małomiasteczkowi powoli z widowni prowincjonalnej nikną; a wreszcie stan włościański znajdując się w kompletnej ruinie, skłonny do posłuchu pokątnych podżegaczy, z rozpaczy opuszcza kraj rodzinny i szuka nierozważnie szczęścia po za Oceanem!...

Dziwna rzecz, że mimo trzydziestu przeszło lat konstytucyjnych swobód, któremi się z małemi przerwami Galicja cieszy, mimo zaprowadzenia od piętnastu prawie lat autonomicznych ustaw, mimo wyrugowania ze wszystkich przeważnie instytucyj, obcych, szkodliwych narodowemu rozwojowi czynników, których miejsce zajął chętny żywioł krajowy, mimo, że oświata coraz szerszy obejmuje ogół, ze smutkiem jednak należy przyznać, że pomimo tych na pozór sprzyjających samowiedzy okoliczności, życie polityczno-społeczne, a osobliwie autonomja nie weszła jeszcze w krew i życie ludności, nawet nie zapuściła ona swych korzeni tak głęboko w niższe i poniekąd średnie warstwy, jakbyśmy się tego mieli prawo spodziewać. Co większa, jest niezaprzeczonym pewnikiem, że ze wzmagającą się liczbą szkół ludowych nie podniosło się samopoznanie ludu w takiej mierze, aby choć w miernej pełni odpowiedziało pokładanym przez nas oczekiwaniom, aby proces odradzania się w życiu obywatelskiem rozstrzygnął się za pomocą oświaty na korzyść narodowych celów.

Szczególnie ten może w tym względzie bezstronnie orzec, kto podczas dłuższego na prowincji pobytu miał sposobność przypatrzenia się zbliska i dokładnie stosunkom miejskim i wiejskim, badał z zamiłowaniem, choć z bolem, istotne powody nieszczęsnego stanu miast, magistratów, okolicy i t. d., starał się wżyć w małomiasteczkową społeczność, kto stykał się ciągle przy różnych okolicznościach z ważniejszemi i wpływowszemi osobistościami, miejscowemi i okolicznemi, poznał więc ich stan, potrzeby, warunki bytu, i obecną niedolę. Taki znawca istniejących a rzeczywistych stosunków nie będzie o tyle optymistą, aby śmiał twierdzić na serjo o jakiemś podnoszeniu się mieszczan i ludu w duchu intelektualnym.

Obecnie za inicjatywą Szan. Jubilata Kraszewskiego zawiązuje się *Macierz polska,* która ma starannie czuwać i gorąco się opiekować naszym ludem i w tym celu wydawać tanie dzieła popularne dla niższych warstw. Nie chcemy ani myślimy odmawiać temu szczytnemu zadaniu należnego mu uznania, ani z góry przepowiadać wydawnictwu, że przynajmniej w Galicji nie znajdzie sposobnej do uprawy gleby, że mało w ciemnej warstwie obudzi ciekawości, ale pozwolimy sobie okazać fakt, że jakkolwiek podobne wydawnictwa u nas już dawniej istniały lub obecnie istnieją (n. p. Biblioteka Mrówki, wydania księdza Bażyńskiego, Chociszewskiego, katolickie w Krakowie i t. d.), nie cieszą się w Galicji większem powodzeniem. Rozszerzeniu bowiem takich pożytecznych dziełek w Galicji stoją na przeszkodzie różne powody, a najważniejsza, że tu brak pośredniczących organów w rozsprzedaniu, i niejako w rozrzuceniu tych popularnych książeczek. Bardzoby się ten mylił, któryby mniemał, że luźne ogłoszenia nowości literackich w gazetach, polecenie i zachęta do nabycia tej lub owej książki, a tem mniej małe księgarnie na prowincji, zachęcały i rozszerzały druki, a więc bezpośrednio jaki wpływ na czytający ogół wywierały. Dowód tego mamy na mieszczaństwie małomiasteczkowem, które poziomem wykształcenia i wstrętem do bibuły drukiem pokrytej równa się włościanom, nie umiejącym czytać.

My z całą świadomością i rozwagą tych trudności znamy tylko dwa ważne i jedyne w tym względzie środki, które u nas mało i fałszywie praktykowano t. j. *kolporterja i wydawnictwa gazet na prowincji*, które wszyscy zdrowo myślący, a głównie „Macierz polska“, popierać winni.

Ponieważ pierwsza nie wchodzi bezpośrednio do naszej rozprawy, a zresztą sztucznie mogłaby z wydawnictwem prowincjonalnych gazet być złączoną, poświęcimy temu ważnemu przedmiotowi kilka artykułów, zmierzających do wykazania potrzeby, ważności, sposobu i programu takich pism, oraz wykażemy jakie były przyczyny upadku podobnych prób, i jak wreszcie ma być zakładana i redagowana prasa prowincjonalna, ażeby w zupełności odpowiedziała narodowym celom.

I.

Jeśli zamiarem naszym jest, wykazanie potrzeby i sposobów zakładania pism prowincjonalnych dla celów ogółu, chciejmy się nasamprzód choć pobieżnie przypatrzyć właściwemu życiu na prowincji, tak różniącemu się od życia w stolicy, aby poznawszy niejako teren, pole odłogiem leżące, wziąć się do jego uprawy. Życie prowincji naszej łączy iześrodkowuje się w miastach i miasteczkach, już to dla tego, że tam jest siedziba władz, urzędów, szkół i stowarzyszeń, jużto z powodów towarzyskich, handlowych, kupieckich i ekonomicznych. Wierząc datom statystycznym, zdaje się wiarogodnym, dowiadujemy się, że niektóre większe miasta Galicji (wyłączając Lwów i Kraków jako stolice), jak n. p. Tarnów, Stanisławów, Tarnopol, Przemyśl i t. p. bezprzecznie się i liczebnie i majątkowo zwiększają. Przyczyny tego szukać należy we wzmagającej się ilości napływowej ludności ze szkodą wsi i przysiołków, w powiększeniu się liczby urzędów, związków handlowych, dróg żelaznych, wojska i t. d.; do czego szczególnie dodać należy energją i sprężystość burmistrzów i podwładnych im miejskich urzędników. Natomiast inne

miejscowości utrzymują się *in statu quo,* nie widać tam ani wzrostu, ani postępu ku lepszemu, niewidzialnie chylą się ku upadkowi.

Z wyjątkiem Drohobycza i Brodów, miast mających pewne kapitały, wszystkie inne miasta przechodzą finansowy „krach;“ gdyż dawniejszy majątek gminny zmarnowano lub nierozważnie rozsprzedano, później zaciągano na niezbędne wydatki wysoko oprocentowane pożyczki, których rat według zobowiązania nie spłacano tak, że dziś kasę magistracką wspomaga jedynie t. zw. „dodatek gminny“ i propinacja, stanowiące razem jedyny prawie dochód naszych miast. Co się z niemi stanie po możebnem zniesieniu propinacyj, a tem samem po znacznem uszczupleniu funduszów miejskich, łatwo każdy przewidzi.

Na domiar złego, z bardzo drobnymi wyjątkami znajdujemy po miastach i miasteczkach galicyjskich dwa lub więcej stronnictw, pełno koterji i klik, które zacięcie przy częstych wyborach walcząc o pierwszeństwo, nie o cele i zasady, lecz o własne korzyści, stoją przeciw sobie wrogo przy każdej sprawie, choćby ta z interesami miasta nic nie miała wspólnego. To też znakomicie na tem wychodzą bracia żydzi, bo zjednoczoną interwencją rozstrzygają zawsze spór na swą korzyść. Według wadliwej ustawy gminnej odświeżają się Rady gminne co trzy lata; ileż tu pola do rozpusty i przekupstw! Na kilkanaście miesięcy przed wyborami rozpoczynają pokątni agitatorzy krytykę istniejącej rady, dogorywającego mandatu dygnitarzy miejskich; występują powoli kandydaci, których zwolennicy pijatyką. przekupstwem i obietnicami jednają oby wateli na swą stronę i rozstrzela się tym sposobem mieszczaństwo na kilka partyj, porzuca młot i kopyto, a w szynkach i kawiarniach toczy bój zażarty... z wiatrem. Niebawem występuje jeden kandydat główny mieszczańskiego pochodzenia z zasobną kiesą, lecz pustą głową i wszystko pędzi za nim; zamiast mowy kandydackiej z określonym programem przyszłej czynności burmistrzowskiej starczy pochodzenie i demagogiczne przekonanie kandydata, więc gromadzą się około takiej jednostki próżniacze głowy, zrujnowani rzemieślnicy i nałogowi pijacy. Wkrótce po wytrzebieniu kieszeni kandydata „obywatela“ zjawia się kandydat inteligentny, popierany tajemnie przez starostwo lub sędziego powiatowego, proboszcza lub magistrat, tworzy się nowe stronnictwo, mające swój lokal agitacyjno-zbiorowy w innym szynku, dokąd napływają świeże siły a zwyczajnie odstępcy innych kandydatów. I tak dalej idzie *ad infinitum,* aż się kilkunatu zgłosi pokątnych kandydatów, a zawsze jeszcze zagadkowy jest skład przyszłej rady. Sporom, kłótniom i bijatykom nie ma końca; dopiero głosowanie w trzech kołach wyborczych okazuje nicość walki, bo najmniej oczekiwany został „ojcem miasta“. Jednak i taki wynik niespodziany nie uśmierza zupełnie pokonanych podżegaczy, szczują odtąd na burmisrza i radę z ukrycia; przepadli kandydaci nie pytają się, czy położyli jakie dla miasta zasługi, czy mają odpowiednie wykształcenie i sumienność, aby nawą miasta, skołataną roznamiętnionymi wyborami dobrze pokierować, lecz nadrabiają fantazją, a parci egoizmem mszczą się wszelakim sposobem .. na szkodę miasta.

Ale nie koniec na tem: Wybrany burmistrz opierając się na koterji, której zawdzięcza swą godność i dochody, gospodaruje zwyczajnie stronniczo, zaniedbuje obowiązki, nie pilnuje kasy, nie baczy na podwładnych urzędników, bo przecież oni swym wpływem podnieśli go na krzesło dostojnika miejskiego, i tak wszyscy aż na dół do policjantów i strażaków dopuszczają się głośnych lub cichych nadużyć, z wiedzą lub bez wiedzy naczelnika gminy. Nikt się nie waży tej gospodarki podać do publicznej wiadomości, bo cóż znaczy „motyka przeciw słońcu?“ Jeśli się znajdzie jakiś śmiałek, który będzie miał odwagę napisać o tem do którego z dzienników stołecznych, to albo nie podpisze się a tem samem skazuje swój artykuł do kosza, albo z taką to uczyni zajadłością i bezwzględnością, że sama przyzwoitość i widoczna stronniczość autora nie dozwala redakcji ogłoszenia go w swych łamach. Jeśli jednak to nastąpi, rozpoczyna się „borba magistracka“ z inkryminacjami na domniemanego korespondenta, a w końcu uspokoi wszystko *urzędowe* sprostowanie z obelgą rzuconą na autora. Jeśli znowu śmiałość i bezstronność towarzyszą takim korespondencjom, co ciągłe wykazują nadużycia magistratu i majątku miejskiego, wykrywają dobitne fakta nieuczciwości i złej gospodarki, wtedy zjeżdża delegat Wydziału krajowego lub Namiestnictwa, szkontruje, bada, śledzi, dowiaduje się, i albo zasuspenduje dotychczasową radę z burmistrzem, albo misternie otumaniony powraca magistratowi rzekomą niewinność i nieskalany honor.

Dalecy jesteśmy od tego, by ten przerażający koloryt obrazu miejskiego samorządu rozszerzyć na wszystkie bez wyjątku miasta, owszem osobiście znamy odwrotną czystą i piękną stronę medalu w tych miastach, gdzie prawość i zacność burmistrza, gorliwość i bezinteresowność rad miejskich i urzędników zupełną dają rękojmię należytego prowadzenia interesów miejskich; przecież powyższe poglądy skreśliliśmy z własnego doświadczenia i naocznego przekonania się. Gospodarka miejska wszędzie kryje się przed okiem miłośników samorządu, a choć posiedzenia rad miejskich są otwarte i publiczne, to tylko dla szczupłej garstki słuchaczów; nigdzie nie słychać o jakichkolwiek sprawozdaniach i uchwałach tychże i jedynie gołosłowne wystawienie na krótki czas budżetu (który mało kto rozumie, a tem mniej przegląda) miejskich dochodów i rozchodów stanowi słabą kontrolę, jaką ustawodawstwo obdarzyło mieszkańców miast.

II.

Podobnież ma się rzecz i z drugą autonomiczną instytucją, tj. z radami powiatowemi. Zamiast burmistrza jest tu marszałek, a wydział rady jest właściwą władzą. Zwyczajnie odbywają się wybory do rady powiatowej z mniejszą agitacją, nie z tak wyuzdanem warcholstwem i przewrotnością, mniej rozpasuje się pijatyka i przekupstwo, natomiast usiłują wrogie naszemu narodowi żywioły rozkładnicze wyzyskać przytem swe kruche pozycje. Mniej tu pola do nadużyć, większa kontrola ze strony władz i obywateli, ale najczęściej gości tu prywata i koteryjne popieranie interesów nie całego powiatu, lecz osobistości i indywidualnych celów. Rzadko znajdziemy w gazetach ogłoszenia z czynności i posiedzeń wydziałów i rad powiatowych, znowu tylko zestawiony budżet roczny starczy za wszystko; nie dziw więc, że okolica obojętnieje dla tych ważnych czynników samorządu i coraz mniejszy w wyborach bierze udział.

Szczupła działalność obu tych instytucji samorządu prowincjonalnego: rady miejskiej i powiatowej, krótki przeciąg trwania ich sesji, ciągłe wybory do nich, to znowu posłów do sejmu i rady państwa, są obok zwyczajnie błędnych pojęć o prawdziwych obowiązkach obywatelskich, widzących wszędzie tylko prywatę i własne dobro, niepocieszającemi objawami życia społecznego prowincji; to jest także powodem, iż nasza autonomja po większej części spaczyła zdrowe umysły, odrywa wciąż od spokojnej pracy, a nawet demoralizuje niższych mieszczan i włościan. Przedłużenie terminu trwania tych rad do sześciu lat, w myśl projektu wydziału krajowego, byłoby wielce do życzenia, jak i większa kontrola ze strony władz nad gospodarką miejską i wiejską.

Opisany powyżej wpływ szkodliwy oddziaływa głównie na mieszczan, rzemieślników, przedmieszczan i włościan. Stan urzędniczy pośrednio w tym sporze o mandaty interesowany, nie związany ani pochodzeniem i wspomnieniami, ani nadzieją lub chęcią stałego w jednem mieście pobytu, zrażony pokątną szermierką, mały bierze w wyborach udział, czasem wstrzymuje się od głosowania, częściej forytuje na oślep starszyznę i przełożonych swych na kurulne krzesła. Zamiast więc, ażeby ta oświecona warstwa pośredniczyła światłym przykładem i pouczaniem ciemniejsze warstwy ludności w walce stronniczej, czego bardzo rzadkie są u nas objawy, miesza sprawy partykularne z autonomicznemi, a po obraniu rady niektórzy urzędnicy, parci przez swych naczelników, albo ociągają się w pełnieniu obowiązków radnych, albo, choć narzekają na złą gospodarkę, nie mogą lub nie chcą złemu tamy położyć.

Wynikiem dalszym tego niepomyślnego stanu prowincji, jest panująca ogólnie cisza grobowa po miastach, przerywana od czasu do czasu gwarem jarmarcznym i hałasem uliczników; rej wiedzie kilka jednostek, a pospólstwo niewolniczo idzie za niemi, troszcząc się chyba o zaspokojenie codziennych potrzeb.

III.

Rzućmy teraz okiem na towarzyskie życie prowincji. Pożycia wzajemnego, towarzyskiego i zgodnego nigdzie nie znajdziemy; bardzo rzadko, i to tylko w malutkich miasteczkach, gdzie całą inteligencję na palcach można zliczyć, łączy się i jednoczy wszystko w jednem kółku, wszyscy tworzą jedną niejako rodzinę. Zwyczajnie zaś rozstrzela się życie społeczne na kilkadziesiąt kółek i kółeczek, według pochodzenia, majątku, rangi pensyjnej i różnych pretensji; kastowość nieznana innym narodom wybujała w Galicji do niesłychanych rozmiarów, każdy wynosi się nad drugiego, lekceważy innych mieszkańców stan, zatrudnienie, przeszłość, wiek, a nawet... widoki! Obywatelstwo wiejskie, właściciele dóbr lub dzierżawcy, wiodą znowu oddzielne życie, stronią ostentacyjnie od inteligencji miejskiej, marząc o dawnych czasach, koligacjach, a czasem i o buławie marszałkowskiej. Jedynym zbiornikiem mieszkańców miast są kasyna, resursy, czytelnie i stowarzyszenia — lecz i tu odgrywa taż kastowość główną rolę! Oddzielne powstają grupy czytających gazety, graczów w karty, w bilard i w kręgle, rzadkością tu są odczyty naukowe lub

obchody narodowych uroczystości, za to częściej bale i zabawy, rozumie się w osobnych gronach zjednoczone. Ztąd o wzajemnem oddziaływaniu i płynącym ztąd pożytku nie ma tu mowy. Niektóre stowarzyszenia, jak urzędnicze, spożywcze itp., gdzie interes łączy członków, działają pomyślniej na zgodę i pożycie mężczyzn, ale takie, jak np. muzyczne, dramatyczne itd., opanowuje zwyczajnie pewna koterja z niezadowoleniem innej i po krótkiem istnieniu upadają z powodu niezgody i stronniczości rej wiodących.

Przybyły do takiego miasta nowicjusz musi albo dać się wciągnąć do pewnego kółka, zlać się z jego prądem i sterać młodzieńcze siły, albo zrazi się do wszystkiego, a obłożony potem klątwą plotek i oszczerstw, ucieka czemprędzej z takiego gniazda.

Co się tyczy oświaty w takich miastach, to lepiejby o niej wcale nie mówić, bo cóż znaczy to powierzchowne zasłyszenie o Mickiewiczu, Krasińskim, Kraszewskim, Fredrze itp. znakomitościach, takie lekkie rozprawianie o Kazimierzu Wielkim, Bonie, Kościuszce, Langiewiczu itd., gdzieś tam przeczytane w artykułach dziennikarskich, jeśli o racjonalnem wykształceniu nikt tam nie myśli. Prócz rozchwytywania efektownych romansów i pożyczania z rąk do rąk skandalicznych powieści, ani śladu tam nowości literackich, na które żałuje się wydatków, a naukowych pism nikt nie chce prenumerować! Księgarnie na prowincji więcej mają zarobku na ołówkach, piórach, papierze i kalendarzach, niż na arcydziełach literatury i najtańszych publikacjach. Takie pisma, jak „Modenwelt, Bazar, Cornelia" stanowią jedyną lekturę naszych pań i panien, bo te pisma dużo i o wszystkiem piszą, a do zaprenumerowania „Bluszczu" wzorowo redagowanego trzebaby dopłacić z kilka złotych. Zamiast więc zajęcia się zdrowym materjałem i poważnemi rzeczami, obchodzącemi dziś cały świat, oddycha prowincja nasza duszącą atmosferą, gdzie przeważnie plotkarstwo, rywalizacja, zaściankowość i najnieznośniejsze samolubstwo na każdym kroku zatruwa organizm małomiasteczkowej publiki.

Ze zdumieniem pytaliśmy się często: czem się to dzieje, że życie i działalność prowincji ukrywa się tak szczelnie przed okiem dalszej, stołecznej publiczności, iż o nich nic w gazetach wyczytać nie można? Nikt bowiem nie zechce krótkich i okolicznościowych korespondencji, umieszczonych w „Kronice" stołecznych pism, uważać za prawdziwe i wiarygodne doniesienia, na któreby warto było zwracać większą uwagę. Najprzód samym redakcjom codziennych gazet we Lwowie i Krakowie zdaje się być małą rzeczą, nieobchodzącą nikogo, co się w tem lub owem mieście i powiecie dzieje, jakie są objawy społecznego i obywatelskiego ruchu w tej lub owej okolicy, jakie postępy między mieszczaństwem i ludem poczyniła autonomja i coby należało odmienić w ustroju i ustawodawstwie krajowem. Nie biorąc przykładu z obcych pism, gdzie prowincja na równi ze stolicą bywa uwzględnianą, nie mają nasze dzienniki swych korespondentów stałych i płatnych na prowincji, zajmują się li tylko stolicą za to; prawda, częściej tam napotykamy obszerne doniesienia bez interesu z Paryża, Genewy, Konstantynopola itd., niż choćby krótkie sprawozdania z kraju. Jeśli się jednak znajdzie stały korespondent, któremu zacna prawda i bezstronność przyświeca przy kreśleniu dodatnich i ujemnych stron swego miasta lub powiatu, to z pewnością można mu nadać miano „męczennika narodowego". Biada mu, jeśli mu się choć raz wymknęło jakie słówko dwuznaczne, jeśli skrytykował niewłaściwy projekt, doniósł o nagiej prawdzie; za schlebianie lub należne uznanie jakiej osobistości dostanie mu się od tejże przeciwników; zresztą według prowincjonalnego kodeksu podciąga się głośne wytykanie błędów patrycjuszów miejskich pod ustęp „herezja i zbrodnia". Gdy takim korespondentem jest np. urzędnik, tu dopiero arbitralna władza ma pole do popisu. Najprzód z lekka zaczynają się od przełożonych i kolegów przycinki, za dalszem korespondowaniem sekatura i prześladowanie, w końcu wprost oświadczenie, aby zaprzestał pisywać, bo pan N. N. grozi doniesieniem o tem wyższej władzy, zaczem pójdzie przeniesienie „na własny koszt", a nawet zasuspendowanie. Któż wobec tego faktu odważy się nosić koronę męczeńską na swej głowie? kto ma być sprawozdawcą z dziejów prowincji? Przed obelgami i groźbami ustępuje urzędnik, niewładający piórem mieszczanin nie zdobędzie się na koncept; więc kończy się na tem, że zausznicy wynoszą pod niebiosa swych pryncypałów, chlebodawców lub dobrych „fundatorów", że sypią się stronnicze pochwały swego stronnictwa i własnej osoby.

Z tego łatwo nam poznać, iż, skoro organa prasy stołecznej nie wystarczają w tej mierze, należy innego szukać środka do zaradzenia złemu, a najwłaściwszem byłoby zakładanie małych pism prowincjonalnych, o czem w następnych pomówimy rozdziałach. (dok. n.)

ZEMSTA KWIATÓW.

(wolny przekład z Freiligratha).

Na pościeli z puchów lekkiej,
Odpoczywa w śnie dziewica.
Sen zakleił jej powieki,
Lecz purpurą grają lica.

Przy jej łożu, z pysznej czary
Co ozdobą jest komnaty;
Sieją wonie i nektary,
Uwięzione w czarze kwiaty.

Ani wietrzyk się nie wkradnie
Przez zamknięte tu podwoje;
A woń kwiatów cicho, zdradnie
Wciąż ją w sieci mota swoje.

W koło cisza i milczenie,
Nagle jakiś szmer się budzi.
Całe kwiatów otoczenie,
Zaszemrało mową ludzi.

I powstają z kwiatów łona,
Nieujęte jakieś cienie:
Ze mgły szata ich zrobiona,
Czoło zdobią im promienie.

Z purpurowych listków róży,
Nimfa cudna się podnosi:
Włos rozwiany jak po burzy,
Łza jak perła wzrok jej rosi.

Narcyz dumny i wspaniały,
Wstrząsa białą swą koroną:
I wnet rycerz okazały,
Wciela się w narcyza łono.

Twarz rycerza pełna wdzięku,
Czoło wzniosłe, wzrok dostojny,
Z obnażonym mieczem w ręku,
Bogiem zdawa się być wojny.

Lilja zmazą nieskalana,
W dziewczę się urocze zmienia:
Murzyn wstaje z tulipana,
Czarny, jak duch potępienia.

Z leśnych dzwonków i konwalji,
Wstaje cały huf Dyjanny;
Odgłos rogów grzmi w oddali,
I gwar słychać nieustanny.

Tu znów, inne jakieś dziwa:
Z kwiatu wstaje młodzian smętny,
Lekko śpiącej pierś odkrywa,
I wzrok topi w niej namiętny.

I w komnacie, gdzie wesoło,
Przed godziną śniła dziewa:
Wnet się w jedno łączą koło,
I chór groźny tak rozbrzmiewa.

Dziewcze! tyś nas nielitośnie
Z łąk wyrwała, gdzie mieszkamy,
Tam nam było tak radośnie,
A tu nędznie umieramy.

Jakże byłyśmy szczęśliwe,
Na tej łące umajonej,
Co nas w barwy stroi żywe,
I w liść świeży i zielony.

Przez konary drzew szumiące,
Słońce wciąż się do nas śmiało;
I korony kwiatów lśniące,
Promieniami całowało.

Teraz więdniem jak na grobie,
Znikła dla nas wieczna wiosna.
Dziewczę! dziewczę! zemsta tobie,
Zemsta kwiatów bezlitośna.

I śpiew milknie wśród komnaty:
A nad śnieżną dziewy skronią,
Nachylone, mściwe kwiaty,
Dławią ją zabójczą wonią.

Jakieś szepty tajemnicze,
Jakieś groźne słychać słowa...
Coraz bledsze jej oblicze,
I ust barwa karminowa.

Wstało słońce zadziwione,
Patrzy, patrzy co się stało:
Ale dziewczę pogrążone
W sen głęboki — już nie wstało.

Wł. Bełza.

WOŁY ROBOCZE

SZKICE PATOLOGICZNO-SPOŁECZNE

przez

Autora kłopotów starego komendanta.

III.

Wół roboczy Mąż.

Dalibóg za wiele materjału jak na jeden szkic. Nie wiem co to tam było w dawne czasy na świecie, i kto kim orał, ale dziś ten rodzaj wołu roboczego tak dalece jest rozpowszechnionym po całej kuli ziemskiej (a nie wątpię, że i po innych planetach), że czas byłby dać mu przydomek *vulgaris*, jak się mówi o chwastach, rosnących przy płocie lub w rowie przydrożnym.

Natura stwarzając go do jarzma, dała mu niezwykle łagodny charakter i odmówiła rogów. Wprawdzie w ostatnich czasach udaje się niektórym hodowczyniom tak pożytecznego stworzenia przyprawiać mu owe rogi, jednak proszę być spokojnym, te rogi nikogo nie bodą, a tylko służą dla ozdoby małżeńskiej.

Niewybredny w potrzebach życia, nasz wół mąż karmi się czembądź, mieszka gdziebądź i to tak dalece, że tam gdzie już osieł, renifer i wielbląd wytrzymać nie mogą, on jeszcze z korzyścią i zdrowo prosperuje.

Nie jestem tęgi w anatomii porównawczej, więc nie mogę stanowczo twierdzić, jakie ma wspólne cechy z osłem i reniferem — uczeni powiadają, że ma. Lecz co się tyczy dromadera, zauważyłem, że mój wół roboczy tak samo się garbi jak król pustyni, tak samo pozwala się objuczać i wreszcie tak samo bicia nie potrzebuje, ale skutecznie da się zachęcać do pracy muzyką i śpiewem — czego najlepszym dowodem kolega mój Wiktorek, o którym niżej. Przy tem wszystkiem wytrwałości jest niesłychanej; niczem się nie utrudzi, niczem nie zrazi, a do jarzma taką ma ochotę, że nawet puszczony losem na wolność, sam dobrowolnie wraca do pługa i jeszcze ogląda się miłosiernie, aby go kto znów zaprzągł. Ztąd też na opas dla żydów niezdatny i wszyscy oni stronią zawsze od tego rodzaju wysłużonych małżonków.

W dzieciństwie mojem słyszałem od niańki, w jaki to prosty sposób da się mężczyzna odrazu wprząść do jarzma. Sposób zależy na tem, aby młoda oblubienica, idąc do ołtarza, zdążyła wprzód od mężczyzny wstąpić na ślubny kobierzec, lub przynajmniej suknią swoją nakryć jego stopy. Sam tego nie doświadczałem, bo gdzie tam człowiek przy tak ważnym akcie ma czas zważać na podobne drobnostki, ale przekonałem się na Wiktorku, bo rzeczywiście Malwinka obiema nóżkami skoczyła jak sarna na ten kobierzec, i dlatego też orze nim jak Bóg przykazał.

Za skuteczność tej recepty nie ręczę, jednakże podaję ją dla powszechnego użytku z tym dodatkiem, iż wartość podobnej metody jest względną odpowiednio do różnych właściwości mężów i położenia ich socjalnego. Tym sposobem studjując ten gatunek wołów roboczych, moglibyśmy opisywać paręset podgatunków i jeszcze nie byłoby końca. Dlatego daruję czytelnicy, że zostawiając tę pracę więcej kompetentnym, zamieszczę tu kilka wybitniejszych typów, stawiając na pierwszem miejscu:

Męża utalentowanej żony.

Otóż jak raz nadaje się tu mój Wiktorek, z którym przesiedzieliśmy całe lat cztery na jednej ławie szkolnej. Był to chłopak niezmiernie delikatnego charakteru, trochę panicz, trochę pieszczoszek, a ładny jak niedorosły Apollo. Pamiętam, zdradzał już wtedy pewne zamiłowanie do sztuk pięknych, bo ubierał się szykownie, staczając zawzięte walki z inspektorem, który nie mógł znieść trefienia ślicznych jego czarnych włosów, mających intencję do zawijania się w pukle. Wiktorek zaklinał się na wszystko, że strzyżenie włosów szkodzi mu na oczy, lecz inspektor, jak każdy despota, mając intencję widzieć nas jako rekrutów — nie zważał na tego rodzaju eksplikacje, ale własną ręką i własnemi nożyczkami krajał mu co parę tygodni owe pukle. Wprawdzie potem, gdy przyjechała matka Wiktora, złożyła świadectwo lekarza i ulokowała go na stancji u tegoż inspektora, przekonał się, że Wiktorek miał racją, ale co się biedak namartwił i nadesperował przy tych operacjach, tego mu już nikt nie odebrał.

Byliśmy w czwartej klasie, kiedy mu ojciec umarł, a że po tym ojcu zostały dwie ładne wioski w glebie proszowskiej, przeto odebrała go matka i zarząd majątkiem powierzyła. Jak on gospodarował, jak kształcił w Krakowie swój smak estetyczny, gdzie co parę tygodni przyjeżdżał — to do naszej historji nie należy — nam idzie o to, w jaki sposób stał się małżonkiem utalentowanej żony, którą jest właśnie pani Malwina, a którą, podług jego przekonań, zna cała Polska.

Otóż panna Malwina była najstarszą z pięciu córek pewnego doktora medycyny w Warszawie. Gdybym tylko chciał wymienić jej nazwisko, czytelnicy odrazu by powiedzieli: aha, to to ona... bo jestem przekonany, że nie ma ani jednego kancelisty, ani jednego aplikanta z owego czasu, którył nie znał panny Malwiny. Pamiętacie, ta szczupła, wysoka i blada, z wymokłą twarzą, z szafirowo-zielonkowatemi oczyma? Nóżkę, co prawda, miała śliczną, wąziutką; a nie szła, tylko właściwie płynęła środkiem głównej alei saskiego ogrodu. Przy niej drepcze zawsze maleńkiego wzrostu, zdaje się trochę ułomna, pani konsyliarzowa, w ogromnej aksamitnej mantyli, w niobach długo opuszczonych po obu stronach twarzy, kobiecina okrutnie ruchliwa, niezmiernie gadająca, ze złotą lorynetką przy oczach, przez którą spogląda z góry na zaglądających w oczy Malwinki aplikantów.

Można było iść o zakład dziesięć przeciw jednemu, że wyszedłszy w którym bądź czasie na krakowskie przedmieście, spotka się tę szwędającą się parę, Malwinkę w przejrzystej ogoniastej sukience, a mamę w aksamitnej mantyli. A cóż dopiero mówić o jakiej zabawie w resursie, o koncercie, teatrze, loterji fantowej, wyścigach itp. miejscach zebrań publicznych? Panna Malwina wszędzie musi być, wszędzie przyjmować udział. Tu gra w teatrze dobroczynności płaczącą hrabinę, tu śpiewa odwieczną barkarollę, tam bębni na fortepianie galopadę Schulhofa. Podczas kwesty przy grobach, panna trzęsie tacą z pieniędzmi tak natarczywie, że ogłuchnąć można, na loterji fantowej prezyduje w namiocie sprzedając bukiety, a jak trzeba ułożyć obrazy z żywych osób — ona reprezentuje chudego geniusza, kładącego wieniec laurowy na głowę mistrza.

Pan doktor, w chwilach wolnych od izraelickiej praktyki na Nalewkach, z pozostałą czwórką panien, z parasolem i paltotem przewieszonym na ręce drałował po alejach Krasińskiego ogrodu, kontentując się echem dalekiej sławy Malwinki... Czwórka przed wyjściem za mąż najstarszej, chowana była w zaciszu, chodziła w sukniach zanadto może krótkich, chichocząc w kułak do studentów, bo mama na wielkim świecie forsowała tylko Malwinkę.

No i niechże mi tu kto zaprzeczy, że nie ma na świecie przeznaczenia? Pan Wiktor mieszkający gdzieś tam koło Szkalbmierza, szlachcic czerwony jak upior, wymawiający wszędzie *o* zamiast *a* i używający krakowskiego przysłowia *psia kość* z całą rubasznością proszowiaka — to jedno ziarnko maku. Drugie ziarnko to panna Malwinka, osoba niezwykle jak widzimy utalentowana, a oboje zanurzeni w całym korcu takich ziarnek — jednakże się znaleźli i do tego gdzie? na neutralnym gruncie, w Galicji.

Panna Malwina potrzebowala trochę krwi, chorowała na blednicę; pan Wiktor potrzebował przetarcia się na szerszym świecie, a trochę i pozbycia się tej burakowo-czerwonej cery, więc pewnego lata znaleźli się naraz w Krynicy...

I na co to było szukać tak utalentowanego ziarnka aż pod Karpatami? Czy on profesor jaki żeby sobie u wód miał upatrywać przyszłą towarzyszkę życia?... Czyż w okolicy jego mało jest kandydatek zdolnych do orania mężami?... Niestety nie brakuje ich nigdzie, a w Proszkowskiem bogata gleba i podniesiony kult gospodarstwa najlepiej sprzyja wyradzaniu się tego rodzaju talentów... Ziemia pulchna i lekka, orze się łatwo i płytko; gdzież więc młody kandydat do orania znajdzie pożądańszy konwikt do nauki. Tam ani poczuje, kiedy się włoży do pługa, i tam też radzę Warszawiankom jeździć na zwiedzenie gospodarstwa...

W Krynicy dawano koncert, dla zebrania funduszu na postawienie kaplicy— naturalnie że panna Malwina przyjęła w nim udział śpiewając tę znaną na całą Polskę apostrofę »do czarnych oczu«... Pan Wiktor, w ogromnych kołnierzykach krających mu czerwone uszy stał też naprzeciwko estrady koncertowej, a że miał z natury czarne jak smoła oczy, więc niewiadomo zkąd i jak wydało mu się, że panna Malwina formalnie do niego pije...

Zadrżało mu serce, w oczach zabłysło fosforyczne światełko, na twarz wystąpiła druga serja rumieńców i jak zaczął bić brawa po każdej zwrotce, to białe rękawiczki potrzaskały się w kawałki...

— A to ci psia kość śpiewa! — pomyślał topiąc swój wzrok w płomiennem spojrzeniu Malwinki — niechże ją nie znam.

Przez całą noc nie spał zmartwiony, że te czarne oczy jego tyle ambarasu narobiły Malwince, a gdy się przejrzał rano i zobaczył swoje wąsiki animująco zakręcone do góry, taka go wzięła pasja do owej śpiewaczki, że w pół godziny już się dowiedział co ona za jedna, a w drugie pół godziny przedstawił się mamie i córce, jako zachwycony adorator wdzięków i talentu panny Malwiny.

Nie będę opisywał tych wszystkich awantur i przemian, przez jakie miłość u wód przechodzi, tych wieczorowych przysłuchiwań się szumowi jodeł na gór szczycie, strzegotaniu koników polnych, grzechotaniu żabek i fałszowaniu krakowiaków przez sławną muzykę krynicką, ale powiem odrazu, że w tydzień oświadczył się najformalniej o rękę panny Malwiny i został przyjęty.

Tymczasem w okolicy Proszowic, gdzie wieść ta już trzeciego dnia doszła, powstał okropny krzyk i zgroza... Jakto? — pan Wielogroch i to z tych cukrowych Wielogrochów, Wiktorek, jedynak, ma się żenić z córką jakiegoś doktora, panną bez posagu i bez przeszłości, panną kształcącą się na komedjantkę? (w proszowskiem wówczas aktorów i spiewaków mieli jeszcze za baj bardzo). Matka Wiktorka dostała spazmów i napisała niezwykle impertynencki list do pani doktorowej, że jej syna poprostu złapali, stryj naszego bohatera najsławniejszy Wielogroch w proszowskiej ziemi pojechał natychmiast do Miechowa po kartę pasportową aby jechać do Krynicy, a jednocześnie stary ekonom Ziemniaczyński przeprawiwszy się cichaczem przez Wisłę kopnął się z uszami na zagrożone miejsce, otrzymawszy rozkaz przywiezienia natychmiast żywego lub umarłego panicza.

Ale i pani konsyliarzowa z swej strony mi zasypiała sprawy. Odebrawszy bowiem tak groźny list z proszowskiego, powiedziała sobie: nie idzie mi o Wiktorka ale o honor Malwinki i na swojem pokażę tej pani Wielogrochowej, że kiedy łapać to łapać. Skoro więc przybył ekonom i już furmankę najął do wywiezienia panicza, pani konsyljarzowa wraz z panną Malwiną i przyszłym zięciem zniknęli jak kamfora... Pytaj, szukaj, nie można się nic więcej dowiedzieć, prócz, że pojechali ku granicy węgierskiej. Ziemniaczyński, któremu się zdawało, że tu wszyscy wiedzą jako on bez pasportu przemknął się za granicę z Królestwa i ciągle się oglądał, czy go kto nie myśli aresztować, powiedział sobie: nie, do kroćset, już za drugą granicę tak nie pojadę... dziej się wola Boża, wracam do domu. Pan Wielogroch znowu, zmuszony już z Miechowa jechać na Kraków, aby tam kupić parę pistoletów, przyjechał coś w pięć dni po wyjeździe Wiktorka z Krynicy, a że miał kartkę na podróż tylko do Galicji, więc również nie miał odwagi puszczać się na węgierską stronę.

Szukał wprawdzie przez dwa dni kogo z rodziny uwodzicielki, aby mu wpakować kulę pod piąte żebro, ale gdy rzeczywiście nie było ani w prostej, ani w krzywej linji żadnego krewnego tych komedjantek, zdesperowany wrócił do Proszowic, odsprzedawszy za pół ceny owe pistolety w Krakowie.

Co się stało dalej, już nie wiem, bo dopiero w październiku zostałem zaproszony na drużbę przy ślubie Wiktorka, i tu właśnie prowadząc pannę Malwinę w kościele św. Krzyża miałem sposobność dostrzeżenia tej manipulacji w uprzedzeniu Wiktora na owym kobiercu ślubnym.

Szlachcic zabrał żonę i kilka kufrów z wyprawą, zabrał stos nót wraz z fortepianem Bösendorfera i pojechał. Od tej chwili panna Malwina zniknęła z horyzontu warszawskiego, a miejsce jej zajęła druga z rzędu Lucynka, która podobno jeszcze lepiej śpiewa i grywa na wszystkich koncertach, a konsyliarz dobrodziej szarżuje po Krasińskich ogrodzie już z trójką.

(D. n.)

MOSKALE W ŚRODKOWEJ AZJI.

Prawie czterdzieści lat upływa, jak Anglicy w Indjach i Anglji po raz pierwszy na serjo zaczęli niepokoić się, widząc ciągłe posuwanie się Moskali w głąb środkowej Azji. Pojmując niebezpieczeństwo, grożące Indjom, i chcąc zapobiedz dalszym zaborom Moskwy, indyjska kompanja starała się znaleść na północy sobie posiadłości jakiego silnego sąsiada, który będąc jej zupełnie oddany, mógłby stawić czoło Moskwie. W tym celu kompanja wmieszała się w wojnę o następstwo afgańskiego tronu, podtrzymując jednego z pretendentów oddanych Anglji. Ogromne pieniężne wydatki i straty w ludziach poniosła kompanja w tym czasie, ale nie osiągnęła celu. Wtedy to posłani byli zręczni ajenci do Chiwy, Buchary, Kunduzu i Kokanu, żeby nie szczędząc pieniędzy, niszczyć wpływ Moskwy w tych krajach. Wielu angielskich oficerów zaciągnęło się do chiwińskich i bucharskich wojsk i zajęło się wzmocnieniem fortów, ćwiczeniem wojska i ulepszeniem broni.

Ale Moskwa, wierna swej naturze zaborczej i wytrwale dążąc do celu, jeszcze w 1865 roku zawojowała większą część kokańskiego chaństwa, a dziś dąży do Merwu.

Zabory moskiewskie w tej części Azji zaczęły się jeszcze za Piotra I., który posunął granice swoje od rzeki Wolgi do rzeki Uralu, gdzie kazał zbudować całą linję fortec, podbiwszy Kałmuków, mieszkających na zabranej ziemi. Mylnem jest mniemanie o Kałmukach, jako o dzikiej mongolskiej hordzie, żyjącej z pasterstwa i grabieży, rozsypanej bez ładu po stepach i niemającej żadnego pojęcia o prawie, a tembardziej o jakimkolwiek prawidłowym ustroju społeczeństwa. Kałmucy, jako naród koczujący, stoją bezwątpienia niżej od niektórych współplemiennych im ludów, nie mówiąc już o mieszkańcach cywilizowanych krajów Europy; niemniej jednak mają swoje prawa, któremi się rządzą, i oddzielną państwową organizację, w skutek której koczownicze ich wędrówki odbywają się w pewnym raz na zawsze przyjętym porządku. Co do charakteru, Kałmucy są nabożni, mają wysokie wyobrażenie o honorze, są bardzo pracowici, gdy tego wymaga potrzeba, i niezmiernie gościnni. Pod tymi względami Kałmucy daleko wyżej stoją od Kozaków.

Ziemię tych spokojnych i poczciwych ludzi najechała cała horda moskiewskich urzędników i zwyczajem swym zaczęła łupić i obdzierać ludność miejscową. Zdzierstwa, niemożność znalezienia obrony, doprowadziły ludność do takiej rozpaczy, że w końcu panowania Katarzyny II. pięćkroć stotysięcy Kałmuków, nie mogąc dłużej znieść okropnej niedoli, postanowiło z rodzinami i dobytkiem porzucić kraj rodzinny i udać się do Chin, szukając tam przytułku i gościnności.

Rząd moskiewski zdumiał się, usłyszawszy o takiej ogromnej emigracji z kraju i tak już mało zaludnionego i rozkazał kozackim pułkom rzucić się w pogoń i zmusić Kałmuków do powrotu, lub zniszczyć ich zupełnie. Rozkaz ten obiecywał ogromne korzyści wypełniającym go; tysiące więc ochotników różnych narodowości, a przedewszystkiem kozacy, pociągnęli za zbiegami, zabijając rozpierzchłych i łupiąc oddziałki, które niewielki stawiały opór. Nieszczęśliwi Kałmucy, po trzechmiesięcznym marszu przez stepy, zdołali umknąć i straciwszy w boju i z głodu do 200 tysięcy ludu, przeszli granicę Niebieskiego państwa, które im dało gościnne schronienie.

Za Mikołaja zabory w tej stronie stały się jeszcze większe. Cała przestrzeń między Uralem i Irtyszem, przestrzeń tak wielka jak Francja i Hiszpanja, została zawojowaną w krótkim bardzo czasie. Wzięcie fortecy Ak-Meczetu w 1853 roku oddało znowu w ręce tego geograficznego potworu 2286 mil kwadratowych.

Jedni po drugich następowali gubernatorowie w zabranych krajach, dążąc nie do polepszenia bytu mieszkańców, ale do nowych zaborów, które zapewniały im łaskę carską i ciągłe nagrody. Dla zaludnienia kraju zaczęto z Moskwy wysyłać zbrodniarzy, a z Polski, Litwy i Rusi przestępców politycznych, których mianowicie wiele dostarczyły lata 1846 i 1848.

Po wojnie krymskiej Moskale musieli powstrzymać się nieco w dalszym swoim pochodzie, w skutek powstania kirgizkich plemion. Pułkownik Ignatjew był posłany do Chiwy i Buchary dla zawarcia przymierza i ubezpieczenia zabranych krajów od napadu z południa. Dumne, grubjańskie i beztaktowne zachowanie się jego, gdyż wszędzie i zawsze starał się naśladować Menszczykowa, a także starania angielskich ajentów, były przyczyną, iż poselstwo nie odniosło żadnego skutku, a nawet ledwo uniknęło niewoli i śmierci. Od roku 1859 do 1862 Moskale owładnęli znowu bardzo ważnemi miejscowościani. Podbicie Kaukazu w 1864 r. i wyludnienie go w skutek wysłania plemion czerkieskich do Turcji, pozwoliło Moskwie użyć kaukazkich wojsk do podbicia kokańskiego chaństwa. W czerwcu 1864 dwie ekspedycje jednocześnie wyruszyły do Turkestanu i Auletty, miast oddalonych 60 mil jedno od drugiego i owładnęły niemi. Kokańscy Tatarzy przestraszeni i upadli na duchu zaczęli fortyfikować się w Tezemkencie, mieście leżącem z boku drogi wiodącej z Turkestanu do Auletty ale i to miasto po krótkiem obleże-

niu, we wrześniu wpadło w ręce Moskali i zostało jak i inne rozgrabionem. Tym sposobem większa część niezawisłej Tartarji, czyli tak zwany Turkestan została przyłączona do Moskwy. Pozostały niezależnemi tylko niewielka część Kokanu, Buchara, Kunduz, i Chiwa, które wcześniej lub później muszą wpaść w ręce Moskwy. Kraje te żyzne i bogate dadzą ogromne pieniężne zasoby i wielką liczbę ludności z której Moskwa może uorganizować ogromne armie dla nowych zaborów.

Te szczęśliwe ekspedycje napełniły radością Moskali i zaostrzyły apetyt do nowych prób Miodem i mlekiem płynący kraj angielskich Indyj zwraca na siebie nieustanną baczność łakomego moskiewskiego oka. Linje żelaznych kolei zbliżają się codziennie do Uralu a z tamtąd do Kaspijskiego i Aralskiego mórz, na których już się pojawiły wojenne flotylle, składające się z parowców i kanonierskich łodzi. Wojska i wojenne materjały w kilka dni będą mogły być przerzucone z Moskwy na jej najdalsze azjatyckie granice. Syr-Daria i Amu-darja czyli Jaksartes i Oksus starożytnych, są to dwie rzeki szerokie i głębokie, któremi można się posuwać w głąb kraju, a gdy dolina Amu Darji będzie w rękach moskiewskich, z Bałki w dziesięć dni moskiewskie wojska mogą być w Kabulu, Dżellahabadzie albo Kaszmirze.

Znając dobrze charakter wschodnich narodów, znając ich gotowość poddania się wszelkiej despotycznej władzy, osobliwie jeżeli władza ta zechce ich prowadzić do boju i na łupiezkie wycieczki, z pewnością można powiedzieć, że w stepach Baszkirji i na równinach niepodległej Tartarji można zebrać ze 200.000 kawalerji, która w marszu do Indyj znajdzie środki do karmienia swych koni, trzód i bydła które z nią pójdą Wziąwszy też na uwagę ciągłe niezadowolenie Indjan z panowania angielskiego, można, nie będąc prorokiem, przepowiedzieć że dzicz północna powypędza ponurych synów Albjonu z państwa Wielkiego Mogoła pod mgliste ojczyste niebo.

Są to rzeczy jasne dla każdego kto zna te strony choć cokolwiek. Dla tego też niezmiernie byliśmy uderzeni przeczytawszy w konserwatywnym „Times“ następny ustęp: „Projekta i zamiary Moskwy, które bardzo dobrze widzimy nie są dla nas tak strasznemi jak się wydają. W samej rzeczy Moskwa może w trzech miesiącach stanąć około górzystej granicy naszej, ale granica ta jest bardzo łatwą do obrony. Możemy robić nieustanne dywersje i ataki z boków, a tymczasem i flota nasza powie także słów kilka. Oprócz tego, panowanie nasze nad Indjami jest oparte na sprawiedliwości, cywilizacji i polepszeniu bytu mieszkańców, przez co uzyskaliśmy już wielką sympatję ludności. Prawda że zbliżenie się Moskwy do naszej granicy uczyni położenie nasze dość trudnem, bo natychmiast zacznie podburzać ludność Indji, ale jest to broń obosieczna, bo i my nożemy wzbudzić powstanie na jej tyłach. Czem więcej Moskwa będzie zbliżać się do nas, tem więcej będzie zmuszona utwierdzać swe panowanie nad podbitemi narodami, tak jak my utwierdzamy i robić starania o polepszenie administracji, a to jedno już ją osłabi, gdyż nie wszystko co ona zagarnie będzie siłą i wygraną. Już Moskwa nieraz miała potrzebę walczenia z powstaniami azjatyckich swych ludów, które nie lubiąc zwycięzców wyznających inną religię, nie lubiąc niewoli, powstawali przy każdej sposobności, a sposobność ta tem jest częstszą, im większą nieświadomość tych ludów.

„W Azji nakoniec, Anglja i Moskwa nie są koniecznie nieprzyjaciółmi, jest tam miejsce i dla jednej i dla drugiej. Jeżeli one pójdą w parze, jakby to należało, zachowując dobrą politykę, to mogą dojść do bardzo pięknych rezultatów. Nawet w obecnej chwili, gdy Moskwa jest państwem nawpół ucywilizowanem, osobliwie ze strony Azji, gdzie jest wolną od wszelkiej kontroli opinji publicznej, panowanie jej jest wielkiem dobrodziejstwem dla narodów, gdyż w każdym razie Moskwa opiera się na prawie, sprawiedliwości, porządku i dyscyplinie. Jarzmo moskiewskie lepszem jest od anarchicznego i despotycznego jarzma miejscowych władz.“

Śmieliśmy się czytając te słowa. Czy nie dziwnie słyszeć o współczuciu indyjskiej ludności dla Anglików, którzy dotychczas muszą ciągle wojować, nieustannie wytężać siły swoje, żeby tłumić powstania ludów w różnych częściach Indji? Śmieliśmy się czytając o prawie, sprawiedliwości, postępie Moskwy, o ulepszeniu administracji w krajach, któremi owładnęła. Ażeby pokazać jak rządzą Moskale w Azji, przedstawię kilka faktów, bom tam był i widział co znaczy administracja moskiewska, co znaczy ich cywilizacja.

W czasie ostaniego powstania Baszkirów po wojnie Krymskiej, wysłano kilka oddziałów regularnego wojska do ścigania powstańców, a równocześnie rozkazano trzem chanom pokornych hord wyruszyć naprzeciw zbuntowanych braci, niszczyć ich, rabować i nie dawać nikomu przebaczenia Regularnemi oddziałami dowodził kapitan Michajłów. Po powrocie z ekspedycji oto co on sam o sobie opowiadał:

Ścigając nieprzyjaciela, wszedłem razu jednego do kirgizkiej kibitki (namiotu) i znalazłem tam tylko młodą kobietę z pięcioletniem dzieckiem. Mężczyzny żadnego nie było. Oglądając się w około postrzegłem między sprzętami kozackie siodło; uderzyło to mnie, zapytałem więc Kirgizki u kogo skradziono to siodło?

— Mąż mój kupił a nie ukradł — odpowiedziała z dumą.

— Łżesz, jeżeli mówię że ukradzione, to znaczy, że ukradzione, powiedz mi zaraz u kogo?

— A ja raz już powiedziałam że nie kradzione i powtarzam toż samo; poczekaj powrotu mego męża on ci powie od kogo kupił.

— Ty więc nie chcesz przyznać się, ale ja cię zmuszę do tego. I porwawszy dziecko złamałem mu rękę. Przerażona krzykiem dziecka matka rzuciła się ku mnie, odepchnąłem ją nogą, powtarzając żeby się przyznała natychmiast.

— Panie, ja prawdę powiedziałam.

— Prawdę... więc masz... i w jej oczach złamałem nogę dziecku, a potem wyszedłem z kibitki...

— Zdarzyło mi się także — mówił znowu kapitan Michajłów, że ścigając Kirgizów, spotkałem na drodze dwóch Baszkirów, którzy wesoło rozmawiając szli w tę samą stronę, w którą i ja dążyłem z oddziałem moim.

— Co wy za jedni — zapytałem ich?

Powiedzieli nazwiska swoje.

— Dokąd idziecie?

— Idę się żenić, a to mój kolega, którego zaprosiłem na wesele — odpowiedział mi jeden z nich.

— Łżesz, ty jesteś szpiegiem.

— Ale, Wasze wysokobłahorodje, jeżeli nam nie wierzysz, poszlij z nami jednego kozaka tam, gdzie idziemy, przekonasz się, że mówimy zupełną prawdę.

—Łżesz, jesteś szpiegiem! Hej kozacy niech trzej złażą z koni i wykopią jamę!... Jamę wykopano. Kazałem wsadzić do jamy pana młodego związanego i jego drużbę i żywych zakopać. Panna młoda dotychczas czeka swego narzeczonego i nie wie co się z nim stało — dodał Michajłów śmiejąc się z całej duszy.

Czyny te bohaterskie Michajłów opowiadał w obec orenburskich dam, w salonie jednego z tamecznych dygnitarzy i nikt nie znalazł nic do powiedzenia temu tygrysowi. Za ekspedycję tę Michajłów otrzymał rangę majora.

W czasie tego uśmierzania Kirgizów całe plemiona wyginęły z głodu i nędzy, bo im odebrano stada i za bezcen sprzedano w Orenburgu. Gubernatorem wtedy był jenerał hr. Perowski, jeden z najliberalniejszych Moskali. Po nim nastąpił jenerał Obruczew, dzikie zwierzę, który się pastwił nie tylko nad Kirgizami ale i nad swoimi.

Oto jest ta cywilizacja i sprawiedliwość, o której mówi „Times.“ Wszakże będąc prawie ciągle w zetknięciu z Moskalami na granicach Afganistanu, niepodobna żeby Anglicy nie wiedzieli o tem; ale trudno ze ślepym mówić o kolorach.

Dr. Jan Stella Sawicki.

WIELE HAŁASU O NIC

komedja Szekspira i nowella Włocha Bandello

STUDJUM

KAZIMIERZA STADNICKIEGO.

Komedja „Wiele hałasu o nic“, jest jednym z najoryginalniejszych tworów Szekspira. Tryska z niej obficie śmiały, wyzywający prawie dowcip; owiewa ją pogodna wesołość, komiczne starcia wielką w niej odgrywają rolę, a pomimo to główna akcja mieści w sobie wiele tragicznych żywiołów.

Złowrogie zjawisko *Don-Juana,* brata z nieprawego łoża księcia Aragonji, którego celem głównym jest, jak czarownic w Makbecie „siać“ biedę aby była bieda; obok tego anielska postać jego ofiary, szlachetnej dziewicy „Hero“, którą w chwili zaślubin, oblubieniec szkalując nierządnicą od siebie odpycha, niema jej nieporadność w obec doznanej obelgi, postanowienie aby uchodziła za zmarłą póki niewinność jej na jaw nie wyjdzie, scena w grobowcu, wszystko to jest tego rodzaju, że ledwie by nie chciano zganić poetę za tytuł „wiele hałasu o nic“ dany przedmiotowi do tego stopnia ponuremu.

A przecież arcymistrz sceny umie cały ów tragiczny materjał skierować w sfery komizmu, gdyż piekielną, przez złych ludzi usnutą intrygę wykrywa warta nocna, najkomiczniejsza osobistość w sztuce

I tu więc wykazał poeta jak komedja i tragedja w życiu blisko stykają się. W tem leży też pod względem artyzmu jedna z głównych zalet tego utworu, kóry ma zaś wiele stron ujemnych.

Potwarz której ofiarą pada Hero, razi nieprawdopodobieństwem.

*

Jakże ojciec jej *Leonato*, stryj *Antonio* a nakoniec książę Aragonji, który przecie widział co był wart oskarzyciel, brat jego Donżuan, na chwilę przypuścić mogli aby taka istota z gburowatym sługą Borachio stosunek miłosny miała.

Amoroso *Klaudio* nieprzyjemne sprawia wrażenie. Jeżeli miał to być wizerunek czczej młodzieży ówczesnej, na cóż w tym razie przeciwstawić jemu *Hero?* Szło mu głównie o posag. Na wstępie zaraz pyta się, czy Leonato ma syna, na co książę odgadując myśl jego odpowiada, „nie ma dzieci prócz córki Hero, jedynej jego spadkobierczyni.“

Lecz Klaudjo jest oburzającym w chwili gdy mu donoszą, że narzeczona nagle umarła z żalu nad obelgą doznaną, a on w wesołym usposobieniu udaje się do domu jej ojca i tam dowcipkuje z przyjacielem swym Benedyktem. Nie dość. Leonato ofiaruje mu rękę siostrzenicy swej Beatricy, która, jak oświadcza, po nim cały spadek weźmie, a Klaudio nad trumną byłej swej narzeczonej, z radośnem uniesieniem, przyjmuje propozycję (5ty akt 1sza scena).

I takie to indywiduum powstająca z grobu Hero temi pięknemi słowy wita: „za nim do grobu zeszłam, mieniłam się twoją żoną, tyś pierwszy był, którego kochałam.“

Co się zaś tyczy humorystycznej pary: „Beatricy i Benedykta“ to znany jest hymn pochwalny krytyków na cześć tej pierworodnej i życia i dowcipu pełnej kreacji Szekspira.

A przecież pomimo tych świetnych pozorów trudno zaprzeczyć, że ta szermierka językowa ze stanowiska dramatycznego jest chybą. W jakim kształcie takowa przedstawioną i przeprowadzoną być ma, na to posiadamy nieprzeżyte wzory w komedji Hiszpana Moreto „Donna Diana“ w „Szklance wody“ Skribego, a my dodać możemy w „Ślubach panieńskich“ Aleksandra Fredry. Tu szermierzami są główne osoby dramatu. Szermierka ich jest osią, około której cała akcja się obraca. W *jednej* ostateczne odnosi zwycięstwo miłość nad dumą, w *drugiej* rafinowana dyplomacja nad szermierczynią równą jej w tym kierunku, ale opanowaną chwilową namiętnością, w *trzeciej* komedji miłość i spryt nad kaprysem panieńskim. Nie ma tu osobistych zelżywych przymówek ani próżnej gry słów. Przeciwnie każde słowo trafia do celu, a djalektyce niezrównanej towarzyszy mowa wytworna. Przeciwnie w komedji Szekspira, Beatrix i Benedykt, równie jak ich szermierka, są tylko wtrąconym epizodem. Zajmują one wiele miejsca, kłótliwa para ciśnie się bez przestanku na widownią, ale na główną akcję wpływa ani bezpośrednio ani pośrednio, co się sprzeciwia prawidłom dramaturgii, które wykluczają obce akcji osobistości. Autor wprowadził je, aby rakietami dowcipu rozjaśnić ponury widnokrąg sztuki, ale ni ich waśnie, ni pociąg tajemny, co mają ku sobie, nie zdołają zajęcia rozbudzić. Jeżeli zaś do dziś dnia *Beatrix* i *Benedykt* role popisowe tak zwane stanowią, to z powodu, że w przerobieniu, któremu ta sztuka, a mianowicie wzmiankowany djalog, uległy, aby na scenie obecnej grane być mogły, z pierwotworu tylko pomysł genjalny, rzutność i niektóre trafne pociski pozostały. Djalog zaś zawiera w oryginale ustępy gburowate i brutalne, któreby obecna scena znieść nie mogła. Uległ więc w tłumaczeniach całkowitemu przerobieniu. I tak *Beatrix* (1sza scena 1go aktu) mówi: „wolała bym słuchać psa, gdy szczeka na wronę, niż oświadczeń miłosnych mężczyzny“.

Na co *Benedykt:* „niech Bóg utrzymuje panią w tem usposobieniu, przynajmniej że będzie mniej o jednego męża z twarzą podrapaną“.

Beatrix. „Taką twarz jak pańska, już i drapanie zeszpecić nie może.“

Benedykt. „Coraz lepiej. Powinnaśby pani dresować papugi.“

Beatrix. „Ptak z moim językiem byłby zawsze lepszym, niż czworonożec z waszym.“

Benedykt. „Chciałbym mieć konia tak szybkonogiego, jak nim jest język pani etc. etc.“

Nakoniec Beatrix i Benedykt, mając pobrać się, ostatecznie mogą się kłócić, ale nie powinni przed obcymi siebie poniewierać.

A przecież Beatrix opisuje tak przyszłego męża swego (2gi akt 1sza scena): „Jest to czczy błazen, udatny tylko do tego, aby wytwarzać niesłychane potwarze. Jedni rozpustnicy szukają jego towarzystwa, ale go ich przyciąga, jest to nie dowcip, tylko nikczemność jego. Drwią sobie z pana Benedykta, a przytem biją go.“

A nawzajem w tej samej scenie Benedykt nazywa Beatrix harpią. Szczytem zaś złego smaku, jest tamże rozprawa pary humorystycznej o niezdrowym oddechu.

Nie mówiąc już o autorze Donny Diany, ale że „Skribe“ prześcignął o wiele w podobnej szermierce Szekspira, to dowodzi, że mężny i górnolotny genjusz do igraszek podobnych zniżać się nie powinien.

Wspomnieć jeszcze należy, iż ów epizod oraz inne komiczne sceny są płodem Szekspira. Przynajmniej do dziś dnia nie wykryto pierwotworu, któryby on przerobił.

Tło tragiczne zaś przejął Szekspir z nowelli Włocha Bandello.

Ale w powieści osobistość kochanka wzbudza większe zajęcie. Żal za narzeczoną, która padła jego łatwowierności ofiarą, jest szczerym i nie tak łatwo jak „amoroso“ Szekspira przystaje on na powtórny związek. Tamże też rywal narzeczonego, przez zemstę że odmówionym został, rzuca potwarz na pannę młodą, co wydaje się więcej motywowanem, niż postępek Donżuana w komedji Szekspira.

Z IZBY SĄDOWEJ.

Nowy York w czerwcu 1880.

Historja zupełnie autentyczna. W stanie Connecticut staje przed sądem niejaki Wiliam Robertson oskarzony o zbrodnię pospolitego zabójstwa Powierzchowność jego wskazuje skończonego *gentlemana*. Zabił on farmera w odległej od miasta miejscowości i zabrał mu pieniądze. Na Robertsonie ciężą jeszcze dawne przestępstwa i tylko dzięki szczęśliwym tropom udało mu się uniknąć szubienicy. Tym razem nie mógł już wykręcić się i nawet nie starał się okłamywać sędziów, przyznał się więc do wszystkiego. Był tu pewnością przygnieciony, „przykro dotknięty“ jak sam powiedział, lecz z rezygnacją przyglądał się rozwojowi rozprawy sądowej.

Obrońca Mr. Burnley zadawał sobie wszelki trud możliwy, aby uratować klienta, ale w końcu przekonał się, iż nie ma innej rady, jak tylko dowieść, iż Robertson jest obłąkanym. Powiadał, iż klient w latach dziecinnych został mocno uderzony w głowę, co wpłynęło na mózg i dało zarodek pewnych „predyspozycji,“ które następnie popychały go do morderstwa. Przy tych argumentacjach Robertson sam nie mógł się wstrzymać od uśmiechu i gdy p. Burnley skończył, położył mu poufale rękę na ramieniu i rzekł: Sir, czyś pan także upadł kiedy w dzieciństwie?— Dlaczego? — zapytał Mr. Burnley. Ot, tak sobie pomyślałem — odpowiedział oskarżony. Ława przysięgłych po krótkiej naradzie uznała Robertsona winnym zbrodni morderstwa. Robertson kładzie znowu rękę na ramię obrońcy i powiada: No, teraz mamy upominek! Panu mam to do zawdzięczenia Mr. Burnley!“ Mnie? — wybąkuje zdziwiony — tego przecież za wiele! — Tak, nie potrzebowałeś pan mówić tyle o moim mózgu i mojej chorej głowie! Kiedy głowa i tak jest już chora — pomyśleli pp. sędziowie — to im prędzej się ją zdejmie, tem lepiej będzie! Mój obrońca w Marycounty lepiej sobie postąpił. I on chciał ze mnie zrobić warjata i miał świetną mowę, w której dowodził, iż miewam różne napady. Gdy jednak zauważył, że ten rodzaj obrony wcale się sędziom nie podoba, obrócił ostrze w inną stronę i rzekł: nieprawdaż, panowie przysięgli, niepodoba się wam to że jednego z naszych współobywateli przedstawiam wam jako warjata? Więc oto powiadam wam, że chciałem wystawić was na próbę i wywołać tym sposobem łagodniejszy wyrok. Uginam się przed wami i oświadczam, że mój klient jest zdrów zupełnie lecz właśnie dlatego spodziewam się po was, iż nie napędzicie mu choroby zamykając go w więzieniu! Istotnie nie! — wykrzyknęli przysięgli, dali oklask memu obrońcy, i to mnie wyratowało. Czy nie można by było teraz tego uczynić? Zapóźno, zapóźno! — odrzekł obrońca uderzając się pięścią po głowie — lecz na raz przyszły lepiej to załatwię, możesz pan być pewnym! Za przyszłym razem — odpowiada Robertson żałośnie — i bez tego wszystkiego żaden ząb mnie już boleć nie będzie!

Przewodniczący przerywa ten dyalog przemówieniem do oskarżonego: Panie Robertson! (ten chce powstać). Niech szanowny pan siedzi; będziesz pan trochę przerażonym, albo przykro dotkniętym po odczytaniu werdyktu. (O, tak! — przerywa Robertson). Pojmuję to i umiem ocenić pańskie uczucia.

Robert'son: To bardzo pięknie z pańskiej strony, w samej rzeczy.

Sędzia. Po świetnem przemówieniu pańskiego obrońcy (Robertson i Burnley spoglądają na siebie niedowierzająco), godnem zaiste lepszego przedmiotu („Oho“ wykrzykują B. i R); wybacz mi pan to wyrażenie, panie Robertson!

Robertson. O! bardzo proszę, bardzo proszę, panie sędzio!

Sędzia (mówiąc dalej). Bo nie chciałem pana obrazić jako podmiotu, chociaż pan nie wart jesteś nic. (Robertson: Oho! Przysięgli biją brawo. Obrońca podnosi się, aby złożyć uroczysty protest do aktów; lecz publiczność obecna taki podnosi hałas, że Burnley nie może przyjść do głosu.)

Sędzia. Spokoju, szanowna publiczności! Niedługo skończę. Panie Robertson, ława przysięgłych uznała pana winnym — wybacz mi pan moje słowa — najpospolitszego morderstwa. Mam teraz wypełnić przykry obowiązek, polegający na wyprowadzeniu ztąd konsekwencyj, które

dla pana będą nieprzyjemne, lecz bardzo miłe dla pańskich współobywateli. Proszę rozumieć moje słowa w tem znaczeniu, jakie ja im nadaję, bo nie chciałbym, aby w tej ostatniej godzinie zaszły między nami jakie nieporozumienia.

Robertson (wzruszony przeciera oczy). Dziękuję, panie, za twój współudział.

Sędzia. Bądź pan o tem przekonany. Dam zresztą na to dowody obecnością moją w tej uroczystej chwili, której — zrozumiesz mnie pan, nie będę dokładnie opisywać, bo przeżyjesz ją pan sam niedługo. Jestem zmuszony skazać pana według ustaw, które, jak panu wiadomo, nie mają żadnego względu na serca nasze, chociaż dla pańskiego zaspokojenia mogę zapewnić, iż moje zgadza się w tym wypadku najzupełniej z ustawą — na *karę śmierci z ręki kata!* Proszę się nie gniewać ani na mnie, ani też na panów przysięgłych, którzy są przychylni dla pana, jako dla swego współobywatela. Gdybyś pan zechciał uznać konieczność tej ewentualności, przejścia z tego smutnego życia do daleko lepszej przyszłości zagrobowej, tobyś sprawił nam wielką ulgę.

Robertson. Jabym się zadowolił tem co jest i zrzekłbym się tej lepszej przyszłości.

Sędzia. To bardzo skromnie z pańskiej strony. Żałuję mocno, że nie mogę zgodzić się na to umiarkowane żądanie, jednak chcę w końcu zapewnić pana, że nasze życzenia towarzyszyć będą panu w podróży, którą niedługo rozpoczniesz.

Robertson (mocno wzruszony). Dziękuję wam sir.

Sędzia. Sprawia to panu ulgę, nieprawdaż?

Robertson. O tak, sir, jestem mocno wzruszony, chociaż wolałbym wybrać się w inną podróż.

Sędzia ogłasza potem w sposób formalny wyrok śmierci. Robertson po raz trzeci kładzie rękę na ramieniu obrońcy i powiada: No, sir, cóż mi pomogła pańska piękna obrona? — Ale także i nie zaszkodziła, brzmiała krótka odpowiedź Burnleya.

LISTY T. T. JEŻA.

Dwaj autorowie — «Szkice z czasów saskich» — Epoka saska — Kalejdoskopowość życia — Zagadnienia psychiczne — «Kropińscy» — Nie obrazki ale sprawozdania — «Wielcy muszkietorowie.» — «Kampament w Warszawie» — Król się bawił. — Henryk Rzewuski a Juljan Bartoszewicz — Koronacja obrazów świętych — Potrzeba psychiatrji dziejowej.

Mając przed sobą dwóch autorów, o których udzielić należy wiadomości czytelnikom, znajduję się w kłopocie, od którego zacząć. Styczność, ani podobieństwo pomiędzy nimi nie zachodzi najmniejsze: zestawianie ich razem cienia racji nie ma; zeszli się u mnie, na stoliku, w sposób najzupełniej przypadkowy; i dla tego tylko razem mi się pod pióro nasuwają. Jeden Polak, drugi Anglik. Rzecz prosta, Polakowi pierwszeństwo się należy. Anglika tedy zostawiam na potem, pomimo, że jest to jeden z autorów tego rodzaju, co to, będąc dziećmi ojczyzny własnej, ojczyźnie zaszczyt przynoszą, należą zaś do ludzkości całej. O autorze Polaku nie można powiedzieć tego. Jest on jednak jednym z celniejszych u nas, jednym z takich, którego dzieła znajdować się powinny — nie mówiąc o bibliotekach publicznych, w każdym księgozbiorze domowym, jeżeli właściciel onego dba i o korzyść i o reputację własną.

Autor ów nazywa się Juljan Bartoszewicz.

Powód do wzmiankowania o nim nastręcza mi wyszły świeżo z pod prasy tom VII dzieł jego, wydawanych przez syna, spełniającego w ten sposób i święty względem pamięci ojca i pożyteczny względem narodu obowiązek. Obok tomu tego, doszedł nas jeszcze tom jeden, nie zaznaczony cyfrą porządkową, podpisany przez nakładcę J. Zenowicza a nie wchodzący, jak się zdaje, do kompletu wydawnictwa, znajdującego się na składzie u pp. Gebethnera i Wolffa. Wyjątek ten ma zapewne rację jakąś. Nie do nas należy wnikać w takową. Że zaś w chwili tej obchodzi nas głównie wydawnictwo numerowane, rozpowiem więc czytelnikom w krótkości, co znajdą w tomie VII, zatytułowanym: *Szkice z czasów Saskich.*

Bodaj czy epoka saska nie dostarczyła piśmiennictwu naszemu wątku najwięcej. Ponętną bo jest ona dla dramato-powieścio i dziejo-pisarzy. Dość się do niej dotknąć, ażeby wnet źródło trysnęło, podając się samo na materjał do studjowania, tem bogatszy, że nabrzmiały grą namiętności i przepełniony plątaniną intryg, przesuwających się przed oczami i mieniących się nakształt barw w kalejdoskopie. Życie bo w Polsce przedstawiało się wówczas pod postacią kalejdoskopowej obracanki, którą w szczegółach rozpoznać trudno. Dziś nawet, gdy oglądamy życie to w perspektywie dziejowej, nie przedstawia się nam ono tak wyraźnie, ażebyśmy z niego zdać sobie dokładną i wyczerpującą sprawę mogli. A ważnem jest ono w odniesieniu do historji z tego względu, że epoka saska był to moment, w którym przygotował się napad prób, jakie naród przechodzić musiał. Był to przeto najwłaściwszy moment na reformy — na reformy, które przyszły później, ale po niewczasie — *troppo tardo.* Czemuż nie przyszły w epoce saskiej? Pytanie to niesłychanie jest zajmującem dla historyka i nie-historyka, dla Polaka i nie-Polaka, dla każdego w ogóle człowieka, interesującego się zagadnieniami, odnoszącemi się do psychicznej strony narodów. Kogóż nie obchodzą zagadnienia tego rodzaju? Z tego przeto względu J. Bartoszewicza *Szkice z czasów saskich* stanowią przyczynek ważny w szeregu naukowych i beletrystycznych prac, zwracających się do epoki owej po materjał.

Powiedziawszy słów tych kila *ad generaliter*, w odniesieniu do tomu VII dzieł J. Bartoszewirza, przejdźmy do szczegółów,

Na wstępie spotykają nas obrazki życia sejmikowego, pod tytułem: „Kropińscy." Tytuł szkicu tego nie stosuje się ściśle do treści, jest bowiem w liczbie mnogiej, podczas kiedy główna opowiadania osnowa tyczy się osobistości pojedyńczej, Stanisława Kropińskiego, ojca autora, *Ludgardy, Adolfa i Julji,* etc. Jest wprawdzie mowa i o dziadku autora, ale dla wyprowadzenia jeno szlachcica filuta, który życie całe lawirował śród magnatów, czepiając się Sapiehów, Czartoryskich, Fleminga, Radziwiłłów, raz upadając, znów na nogi stając i który, pomimo, że ani fortuny, ani głowy, ani pomiędzy bracią szlachtą miru nie posiadał, potrafił tego dokazać, że osiągnął i tytuły (miecznik i pułkownik *in partibus*) i urzędy (sędzia grodzki) i dwukrotnie na posła wybieranym był. Umiał panom baki świecić i szlachcie się nastawiać. Autor, opowiadając o pana Stanisława Kropińskiego zachodach, około zdobywania sobie stanowiska, wprowadza nas trzy razy w Brześciu na sejmik. Ztąd to szkic ów nazywa się „obrazkami sejmikowego życia." Mybyśmy nazwali to raczej „sprawozdaniami," z powodu nieobecności ozdób owych retorycznych, które stanowią właściwość obrazków, piórem kreślonych. Nie mniej przeto opowiadanie jest płynne i wielce zajmujące. Sejmik, np. roku 1752, na którym Fleming poniósł klęskę, skreślony od niechcenia, stawia nam przed oczyma żywo czasy owe, dla praojców naszych takie wesołe, dla nas takie smutne.

Szkic następny jest to opowiadanie o grand muszkieterach Augusta II — kreacji królewskiej, w której tyle jeno racji i sensu było, ile dogadzała jednej z fantazji monarchy, wsławionego usposobieniem wysoko fantastycznem. Był to korpus gwardji przybocznej, przeznaczony niby na to, ażeby stanowił szkołę rycerską, do założenia której zobowiązały króla *pacta conventa.* Do korpusu tego przyjmowali się wyłącznie szlachcice polscy słusznego wzrostu; każdego, do szkoły owej zgłaszającego się, August II mierzyć kazał w oczach własnych — i kto nie dochodził na cal do miary, ten się nie kwalifikował na generała polskiego. Nie doczekała się jednak Polska rosłych generałów, raz dla tego, że się grandmuskieterowie prędko królowi znudzili, powtóre zaś dla tej przyczyny, że wymyślonymi zostali na cztery lata przed śmiercią królewską. Fryderyk August aplikował się do czego innego i zczeznąć im pozwolił.

Autor daje nam szkiców kilka, w których występuje postać Augusta II, przedewszystkiem zaś i najjaskrawiej, w całej majestatyczności rozkładu, w szkicu pod tyt.: „Kampament w Warszawie w 1732". Miał to być przegląd wielki wojska, połączony z ćwiczeniami. Przeglądy i ćwiczenia tego rodzaju urządzały się i dziś się urządzają w celu nadania armji spoistości organicznej i zręczności w wykonywaniu obrotów, a także wypróbowania jej pod względem sposobów, odnoszących się do taktyki wojskowej, tak starych, jako też nowo wprowadzonych. W kampamencie na polach wilanowskich cel był wcale inny. Chodziło tam o ucztę z widowiskami, których było rodzajów kilka: balet, sztuki łamane, popisy wojskowe i t. p. Ciągnęło się to miesiąc z górą od połowy lipca do dwudziestego któregoś sierpnia. Gości zjechało się huk z Europy i z Polski, książęta zagraniczni, magnaci, damy — damy zwłaszcza; do stołu zasiadało osób po kikaset; półmiski obnosili grenadjerowie. Ognie sztuczne noc na dzień zmieniały, muzyki przygrywały, działa grzmiały. Była to zabawa, ale zabawa rycerska — ogromnie kosztowna, ale tę miała zaletę, że stanowiła rozmaitość w jednostajnym toku życia pędzonego w rozkoszy. Król się bawił; dziejopisarze dodają: „i naród się bawił". Nieprawda! — bawiły się narodu szumowiny. August II występuje jeszcze w trzech urywkach, odnoszących się do całości, zamierzonej lecz nie dokonanej, mianowicie, do historji Warszawy, którą J. Bartoszewicz napisać chciał. Szkoda wielka, że zamiaru tego do skutku nie doprowadził. Urywków tych tytuły treść onych poznać dadzą: „Karol XII w Warszawie w roku 1702," „Warszawa w końcu r. 1702" i Warszawa w r. 1705." Przesuwa się w nich postać Karola XII, sympatyczna z powodu kontrastu

w odniesiesieniu do pysznego, rozwiązłego i ciemnego Augusta II.

Każdy ze szkiców czyta się z zajęciem wielkiem i w każdym znajduje się rys jakiś wydatniejszy fizjonomji społeczeństwa ówczesnego. W „Sprawie Karwickiego“ widzimy zatarg natury czysto prywatnej podniesiony do znaczenia sprawy publicznej; w „Panu Bystrym“ i w „Ignacym Bohuszu“ rozwija się przed oczami czytelnika wpływ, jaki wywierali ludzie, posługujący się prawem, z którego robić umieli użytek dobry lub zły, stosownie do widoków mężów, co się stawiali w obec ogółu, jako luminarze narodu. Trzy te szkice, równie jak szkic p. t. „Kropińscy“ do tej samej należą kategorji, co Pamiętniki Soplicy (H. Rzewuskiego); są od tych ostatnich mniej barwne, za to historyczniejsze: nie ma w nich tego zacięcia „de hajde, “które z Rzewuskiego czyni malarza zawadjactwa szlacheckiego.

Pomijając zanadto pobieżnie naszkicowane „Dzieje niewiasty polskiej,“ jakoteż ustęp p. t. „Ks. Wincety Santini“ i na szczególną zasługujący uwagę „Systemat Karwickiego reformy w Rzeczypospolitej,“ wspomnę jeszcze o szkicu p. t. „Koronacje obrazów świętych.“ Przedmiot to interesujący dla ludzi nabożnych. Autor sam katolik gorliwy, przekonany, że „wiara czyni cuda“ w duchu tym przedstawił obrządek ów, o którym opowiadanie, w czytelniku, nie podzielającym zwłaszcza wiary autora, smutne budzi uczucia. Epoką w koronacje obfitą było szczególnie panowanie Augusta III. „Sejmy nie dochodziły — str. 207, a panowie koronowali obrazy.“ — Prawo się łamało, rozpusta wyradzała się w dzikość... nikt nie czuł zdaje się, że bolało... nikt krzywdy bliźniego nie widział, bo nie było czasu, wszyscy się modlili.“ I cóż wymodlili?

Zebranie i wydanie razem „Szkiców z czasów saskich“ przyczyni się znacznie do pojaśnienia epoki, do studjowania której utworzyćby należało oddzielną gałęź naukową, pod nazwą: psychiatrji dziejowej.

Kronika Tygodniowa.

Otrzymaliśmy następującą odezwę:

Przed pięćdziesięciu laty naród polski chwycił za broń, aby odzyskać byt samodzielny i podeptane swe prawa. Z hasłem: „za waszą i naszą wolność“ szedł odważnie w bój przeciw najezdcy swej ziemi a despocie własnego narodu. A chociaż w końcu tej walki uległ w obec przemagającej liczby i siły wroga, to jednak na kartach dziejowych zapisał czynami nie tylko świetne swe męztwo ale i stwierdził niespożyte swe prawo, do wolności i niepodległości.

W historji porozbiorowej powstanie to stanowi epokę. Było ono nie tylko wspaniałą i wielką walką o nieprzedawnione prawa narodu, ale i spotęgowaniem żywotności polskiej. Duch polski wzmocniony wiedzą samego siebie i określeniem narodowych ideałów, począł rozwijać się twórczo i samodzielnie we wszystkich kierunkach i tworzyć arcydzieła myśli i wyobraźni, przygotowując silniejsze niż dotąd podstawy dla przyszłych losów Polski. Powstanie to listopadowe wzmocniło ową nieprzepartą siłę i wytrwałość, jaka się zawsze objawiała w ogólnym ruchu i postępie narodu ku swobodzie i samodzielności.

Pomni doniosłego znaczenia tej dziejowej chwili, obchodzili Polacy rocznice listopadowego powstania we wszystkich dzielnicach dawnej Polski, uroczyście i jawnie, gdzie stosunki polityczne na to pozwalały, a gdzie stały na przeszkodzie, w kółkach zamkniętych i rodzinnych. Dlatego też i tegoroczny *półwiekowy jubileusz* tego powstania, należy obchodzić w sposób jeszcze świetniejszy i więcej uroczysty.

We Lwowie zawiązał się komitet mający się zająć urządzeniem tej uroczystości i postarać się, ażeby pamiątkę obchodu uczynić trwałą w późne nawet lata, przemawiającą słowami wielkiej idei odrodzenia. W program obchodu jubileuszowego wchodzi:

Wybicie medalu pamiątkowego w cześć uczestników powstania listopadowego, — urządzenie odpowiednich odczytów w całym kraju, — wydanie spiewnika narodowego, księgi pamiątkowej, obejmującej wspomnienia uczestników powstania, zbioru odczytów wyż wspomnianych, i wizerunków wojska polskiego z r. 1830. 1831.

W dniu 29. listopada b. r. odbędzie się we Lwowie rano uroczyste nabożeństwo, wieczorem zaś dla uczczenia zaproszonych na uroczystość weteranów z r. 1831, uczta i rozdanie im medali w obecności reprezentantów zaproszonych towarzystw i instytucyj tak z kraju jak i z zagranicy.

Podając niniejszy program jubi'euszowego obchodu powstania listopadowego do wiadomości Ogółu, komitet wyraża przekonanie, że patrjotyczne obywatelstwo poprze usiłowania jego we wskazanych kierunkach i zajmie się urządzeniem podobnych obchodów, o ile być może, we wszystkich zakątkach naszej Ojczyzny.

Adolf Abrahamowicz. Adolf Aleksandrowicz. Władysław Bełza Mikołaj Biernacki. Leszek Hr. Borkowski. Antoni Chyliński. Mieczysław Darowski. Wacław Dąbrowski. Jan Dobrzański. Dr. Bronisław Dulęba. Franciszek Głodziński. Dr. Bernard Goldmann, poseł na Sejm krajowy. *Dr. Piotr Gross*, poseł na Sejm krajowy. *Otton Hausner*, poseł na Sejm krajowy. *Robert Hefern. Dr. Aleksander Hirschberg. Julian Horoszkiewicz. Henryk Janko*, poseł na Sejm krajowy. *Hieronim Kunaszewski. Szymon Krawczykiewicz. Ks. Florentyn Lückendorf. Dr. Bogusław Longchamps. Julian Malczewski. Erazm Malinowski. Alfred Młocki. Stanisław Niemczynowski. Karol Pawłowski. Walerjan Podlewski*, Poseł na Sejm krajowy. *Dr. Tomasz Rayski. Henryk Rewakowicz. Tadeusz Romanowicz*, poseł na Sejm krajowy. *Edward Simon*, poseł na Sejm krajowy. *Dr. Tadeusz Skałkowski*, poseł na Sejm krajowy. *Dr. Franciszek Smolka*, poseł na Sejm krajowy. *Apolinary Stokowski. Józef Supiński. Ks. Justyn Szaflarski. Kornel Ujejski. Dr. Grzegorz Ziembicki. Franciszek Zima. Dr. Józef Żuliński. Tytus Zienkowicz. Dr. Tadeusz Żuliński.*

* * *

Odezwa ta, którą dzienniki już poprzednio wydrukowały, a którą dopiero dzisiaj mogliśmy zamieścić, wywołała jęk, oburzenie i niezadowolenie w „Czasie“ krakowskim. Organ Stańczyków twierdzi iż objaw to chorobliwy, że staje on w sprzeczności z najżywotniejszemi interesami narodu i że poważni (!) ludzie nie wezmą w nim udziału.

Boleje przy tem, nad umieszczeniem nazwiska Smolki, między tymi, którzy inicjatywę biorą. Rozumiemy doskonale wiele podobnych temu oburzeń wygłaszanych od czasu do czasu przez obóz reakcyjny, pojmujemy nawet zastrzeżenie się osobiste co do wzięcia udziału w obchodzie narodowym, ale rzucanie tego rodzaju anatemy na uroczystość spokojną, poważną, której celem oddanie czci dla tych, co mimo nieszczęśliwego wyniku walki, ducha narodu podniecili i rozpłomienili, tak, że tym świętym ogniem do dziś dnia jesteśmy rozgrzani, a którzy cnotą osobistą, męztwem, geniuszem otoczyli tę bohaterską walkę, legendą pełną uroku dla każdego Polaka, rzucanie anatemy na to, jest krokiem tak dziecinnym, tak niepolitycznym i tak rozdrażniającym, że tem większej uroczystości i większego zapału w massach spodziewać się można. Jakaż bo dziwna logika! Oburzają się i zakładają protesta przeciw uderzeniom na ich dewocję, na ultramontanizm, na to, co uważają za najdroższe, za wypływające z najserdeczniejszych ich uczuć, a sami nierozważnie i obelżywie rzucają się na przywiązanie do patrjotycznych czynów, chcą zedrzeć gwałtem aureolę, którą naród swe bohaterskie postacie z walki o swobodę otoczył. A przecież co najmniej, jedno i drugie na równi cenić należy i szał patrjotycznego uwielbienia, nie jest wcale gorszym od szału religijnego, i manji reakcyjnej. Jeżeli chcą aby ich uczucia szanowano, niech szanują to, co dla innych jest drogiem.

* * *

W sobotę odbyła się uczta na cześć ministra Dunajewskiego. Ponieważ był to dzień sobotni, a przygotowano sporo mięsiwa, więc zanim zebrani wzięli w usta niepostną strawę, X. arcybiskup udzielił łaskawie dyspensę, co pociągnęło za sobą tak wielkie uspokojenie, że z apetytem zabrano się do sprzątnięcia zapasów. Mówiono potem dużo i długo, starając się trzymać ciągle majorowego tonu i odmieniając słowo „ufać“ na wszelkie możliwe sposoby. Gdy baron Baum wzniósł toast na cześć pana ministra, muzyka zaintonowała marsz Dąbrowskiego.

Albowiem powiedział mówca, że nowy minister sprosta zaszczytnemu powołaniu, ku pomyślnemu rozwojowi finansów państwowych, ku chlubie kraju naszego. Potem przypomniano sobie drugiego p. ministra Ziemiałkowskiego. Dalej p. Sawczyński swym dźwięcznym barytonem śpiewał o delegacji, parafrazując nowellę Litwosa, umieszczoną w *Ziarnie* p. t. „Czy ci najmilszy?“ i udzielając delegacji miana „najbiedniejszej.“ Najbiedniejszej w co?

* * *

(B) Zaszczytnie znany artysta-malarz, pan Wojciech Gerson, przysłał na naszą wystawę sztuk pięknych dwa ostatnie płody swojego talentu. Jednym z nich jest obraz szerszych rozmiarów, przedstawiający królowę Jadwigę i Dymitra z Goraja — drugim mały obrazek zatytułowany „Wytworniś XVIII. stulecia“. Pierwszy, jak sam tytuł wskazuje, przedstawia dramatyczną chwilę, w której stary sługa dziada i ojca królowej Jadwigi, ówczesny podskarbi koronny Dymitr z Goraja, przedstawia młodziuchnej królowej bezskuteczność jej zamiaru. Biedne dziecko w koronie, zaskoczone w chwili zamierzonej ucieczki z Wilh elmem, pod wymownemi uwagami

Dymitra słabniej, a za chwilę zupełnie się z przykrą dla niej myślą p godzi. Dramatyczny ten moment przedstawił autor z właściwą mu powagą. W układzie, w kompozycji znać wytrawnego artystę, choć posągowa postać Dymitra jest może pod względem psychicznym trochę za szorstko pojęta, zanadto on surowy wobec swojej królowej. W postaci Jadwigi, popełnił artysta mały anachronizm; królowa była podówczas piętnastoletniem dzieckiem, na obrazie przedstawia się nam jako niewiasta już prawie dojrzała Rysunek wszędzie poprawny, w kolorycie brak jednak należytego stopienia barw — za różowy.

Wytworniś XVIII-go stulecia jest miłym obrazkiem, przedstawiającym młodego kawalera, kończącego przed lustrem toaletę. Młody wytworniś z całem zadowoleniem w lustro spogląda, będąc pewnym, że dziś albo nigdy serce swej dulcynei podbije. Charakterystyka tej jak i drugiej figury (kamerdynera) wyborna. Moglibyśmy tylko zrobić niejaki zarzut co do zbyt poważnego tonu obrazu; lekkość przeszłego stulecia i sam temat wymagają koniecznie pewnego lekkiego akompaniamentu, tak w tonie, jak i w kolorycie obrazu.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura.

*** Wychodząca od kilku miesięcy w Dzienniku Polskim powieść historyczna p. t. „Marzyciele“ napisana przez A. Robaka, wielkie wśród szerokich kół budzi zajęcie. Osnuta na tle wypadków politycznych rozwijających się w Galicji od r. 1833 do 1846, kończy się na rzezi galicyjskiej i powstaniu krakowskiem. Autor korzystał z dzieł i z dokumentów mało lub całkiem nieznanych, i zdaniem wielu żyjących dotąd świadków opowiadanych wypadków, znakomicie scharakteryzował epokę.

Marzyciele z końcem b. miesiąca lipca opuszczą prasę w oddzielnej trzytomowej odbitce.

*** W tych dniach wyszedł z pod prasy VII zeszyt „Słownika geograficznego“, zawierający miejscowości od „Buska“ do „Chełmna“.

*** Władysław Dyniewicz, księgarz w Chicago, wydał metodę języka angielskiego dla Polaków przybywających do Ameryki

Praca ta doczekała się obecnie drugiej edycji. Celem autora było praktyczne obznajomienie ziomków, przybywających na drugą półkulę, z mową potoczną, dlatego w książce pomienionej nie należy szukać naukowych zasad, lecz jedynie wskazówki zmierzające do tego, aby zrozumieć Amerykanina, oraz jemu się dać pojąć.

Aby to zadanie osiągnąć, autor podał zbiór najpotrzebniejszych wyrazów i krótkie rozmowy do wymiany najprostszych myśli służące; obok nich znajdują się te same wyrażenia podług pisowni polskiej, naśladujące dźwięki angielskie.

*** „Gołos“ pomieszcza w ostatnim numerze nader sympatyczną, obszerniejszą wzmiankę o naszem „Ziarnie“.

Wyróżnia on z ozdabiających karty naszego wydawnictwa robót artystycznych prace Matejki, Siemiradzkiego, Brandta, Żmurki, Wełońskiego, Piątkowskiego i innych, w dziale zaś literackim zwraca uwagę na Chojeckiego, Domejkę, Biesiadeckiego, Blocha, Hausnera, Klaczkę, Modrzejewską, Kochańską i Reszkównę, dalej poświęca słów kilka Sienkiewiczowi, Świętochowskiemu, Bobrzyńskiemu, Spasowiczowi, Fredrze i Liskemu.

Wrzeszcie „Gołos“ kończy swą wzmiankę ustępem zaczerpniętym z jednego z pism, w którym wskazywano znaczenie wydawnictwa i całą jego wagę...

*** Dziennik czeski „Koleda“, wychodzący w Bernie na Morawach, podaje przekłady poezyj Władysława Bełzy, dokonane przez Jana Hudeca w sposób nader udatny.

*** Powieści Stanisława Grudzińskiego zaczynają być popularne w Czechach.

Niedawno „Koleda“ ukończyła tłómaczenie utworu: „Kara Boża“, obecnie w „Świetozorze“ pojawił się przekład powieści: „Siostry przyrodnie“.

*** Ulisses Grant wydał w Londynie sprawozdanie z podróży odbytej po Europie.

Książka nosi nazwę: „Arrund the world with general Grant“ i zawiera wzmiankę o Warszawie...

*** W Warszawie pozwolono adwokatowi przysięgłemu, magistrowi praw i administracji, J. Cohnowi wydawać pod jego redakcją za dozwoleniem cenzury uprzedniej pismo pod tytułem „Gazeta kolejowa.“

W programie pisma leżą: a) artykuły wstępne w kwestjach teorji i praktyki dróg żelaznych; b) historja i statystyka kolei; c) prawodawstwo odnośnie do dróg żelaznych i sprawozdania ze spraw sądowych dotyczących kolei; d) sprawozdania ze zjazdów przedstawicieli dróg żelaznych; e) drobne wiadomości o kolejach i f) ogłoszenia.

Pismo wychodzić ma co tydzień.

Również redaktorowi i wydawcy wychodzącej w Warszawie „Gazety Rolniczej“ p. Trylskiemu pozwolono pomieszczać w tem piśmie: a) artykuły wstępne w kwestjach społecznych i ekonomicznych; b) artykuły prawnicze, dotyczące wyłącznie posiadłości ziemskiej; c) kronikę bieżących, społecznych i ekonomicznych faktów w Królestwie Polskiem i za granicą i d) fejleton treści beletrystycznej.

Nauka.

*** Madrycka akademja umiejętności historycznych mianowała bibljotekarza nadwornej bibljoteki w Escurialu ks. Franciszka Rożańskiego swoim członkiem zwyczajnym.

*** *Statystyka zwierząt zaginionych.* Tyle słyszymy ciągle o zagranicznych zwierzętach i roślinach! Istoty te, żyjące niegdyś na ziemi, w dawniejszych jej okresach bytu, tak ważną rolę w dzisiejszej odgrywają nauce, że łatwo nasunąć się może pytanie, jak też daleko posunięta jest znajomość nasza tych tworów, które na tyle wieków poprzedziły ukazanie się na ziemi człowieka. Zadanie to rozebrał na podstawie danych statystycznych p. Fuchs i wyniki swych poszukiwań złożył instytutowi geologicznemu w Wiedniu.

Aby krytyka oprzeć się tu mogła na pewnej podstawie, należy przedewszystkiem rozróżnić dwie grupy organizmów. Istoty posiadające ciało miękkie, mogły tylko w skutek wyjątkowego zbiegu rzadkich okoliczności przechować się jako skamieniałości; również niekorzystne dla paleontologji warunki może też przedstawiać miejsce pobytu lub sposób życia różnych zwierząt lub roślin; do tej grupy należą np. żegawnice, owady, ptaki, drobne zwierzęta ssące, zioła itp. Natomiast jestestwa, posiadające części twarde i w korzystnych przytem warunkach żyjące, jak korale, jeżowce, muszle itd. koniecznie zachować się muszą w prawidłowo tworzących się pokładach osadowych. Szczątki też paleontologiczne tych tworów zachowane są z dokładnością istotnie podziwu godną. Gdy przed siedmdziesięciu laty nad cieśniną messyńską przy budowie doków rozkopano ziemię do znacznej głębokości, znaleziono w głębi kilku metrów warstwę marglu, zawierającą wielką liczbę muszli. Rozróżniono między niemi około 100 gatunków, które po większej części żyją jeszcze w otaczającej wodzie, kilka tylko znaleziono gatunków, których śród istot żyjących w tym porcie nie znano. Po dokładniejszem jednak zbadaniu wody, przy pomocy lepszych sieci, znaleziono i te gatunki. W tym przeto razie faunę portu messyńskiego poznano na podstawie skamieniałości dokładniej, niż z badań zwierząt żyjących. W ogóle zresztą zaginione mięczaki, pokryte muszlami, znamy niemal tak dokładnie, jak dzisiejsze.

Zwierząt kopytowych w Europie żyje obecnie dwadzieścia gatunków; ale wszystkie te gatunki znamy też jako istoty kopalne z pokładów napływowych; tak że możnaby faunę tych zwierząt odtworzyć jedynie ze szczątków paleontologicznych. W pokładach starszych znajdujemy zresztą znacznie większą ich liczbę, tak że cały ten dział zwierząt zagranicznych znamy z uderzającą dokładnością.

Przykładów takich wykaz p. Fuchsa zawiera znaczną ilość. Celem tej pracy było wskazać stronnikom teorji rozwoju istot, jak bogaty materjał mają do rozporządzenia dla stwierdzenia swych poglądów; nam szło tu jedynie o wymowny przykład, jak gorliwą jest praca społecznej nauki. Przed stu przeszło laty jeszcze szczątki zwierząt zaginionych stanowiły jedynie wyjątkowe jakieś utwory, dla uczonych ówczesnych były tylko igraszkami przyrody, igraszki te obecnie pozwoliły nam odtworzyć dokładny obraz życia dawno minionego.

Sztuki Piękne.

*** Na ostatniem zebraniu tutejszego koła literackiego pan Władysław Bełza czytał napisane przez siebie libretto do opery „Wanda“, osnute na znanych o Wandzie legendach. Muzykę pisze pan Jarecki; akt pierwszy jest już skończony i ma być piękny prawdziwie.

*** *Pani Modrzejewska* występować będzie w Londynie — według ogłoszeń, które znajdujemy w pismach angielskich — do dnia 17. b. m. z którym to dniem kończy się tegoroczny sezon tamtejszy. W sobotę dnia 10. b. m. występowała po raz 56ty zawsze w jednej i tej samej sztuce (*Heartsease* cz. Dama kameliowa), a ogółem wystąpi w tej sztuce 62 razy. Powodzenie naszej artystki musi być niepospolite, skoro od czasu jej przybycia dyrekcja teatru Court ani na jeden wieczór nie zmieniła repertoaru.

*** Komitet warszawskiego towarzystwa zachęty sztuk pięknych rozpisał na rok bieżący konkursa: malarski, rzeźbiarski i architektoniczny.

Na konkurs malarski ma być wykonany obraz olejny, przedstawiający ostatnie chwile Długosza.

Na konkurs rzeźbiarski wykonaną ma być statuetka, przedstawiająca ks. Kordeckiego.

Wreszcie na konkurs architektoniczny wykonać należy szkic do projektu urządzenia oddziału szpitala miejskiego na wzór „Campo Santo“.

*** Bawiący obecnie w Warszawie pan Franciszek Żmurko wykończa kilka nowych płócien, zapowiadających pełne wartości dzieła.

Między innemi znajdują się tam: odznaczony już przez Kraszewskiego „Napój miłosny“, dalej portret ojca artysty ślicznie traktowany, wielki portret artystki dramatycznej pani Lüdowej, wreszcie szkic „Siesta“.

*** W Rzymie w teatrze Alhambra przedstawiono przerobiony z powieści Zoli dramat „Nana“; rzecz upadła.

Literatura i gimnastyka.

Mens sana in corpore sano.

Wychodząc z tej zasady starej jak świat i prawda, Emil Zola przypisuje obecny gorączkowy nastrój literatury niezdrowemu stanowi ciała całego dzisiejszego pokolenia i radzi — gimnastykę.

Rada nie nowa; daje ją zresztą autor, wziąwszy asumpt z książki pana Eugenjusza Paz, p. t. „Zdrowie umysłu i ciała przez gimnastykę“. Nie będziemy więc zatrzymywać się z Zolą nad samem dziełkiem, ani też nad jego argumentami, zalecającemi gimnastykę, której pożytek nie potrzebuje już dziś dowodzenia.

Powtarzamy tylko za rozgłośnym romansopisarzem obraz tego co jest, w którym, jak zwykle u Zoli, strona faktyczna, dotykalna, realna przedstawia się oczom w rysach energicznych, w charakterystyce pełnej życia i prawdy.

„Ciało — pisze Zola — znajduje się u nas w stanie upadku, jak za najlepszych czasów mistycyzmu. Upadek ten wynika z podniecenia nie duszy, lecz nerwów, materji mózgowej.“

Ciało obolałe jest od głębokich i ciągle powtarzających się wstrząśnień, które z mózgu udzielają się całemu organizmowi.

Jesteśmy chorzy — to nie ulega żadnej wątpliwości — chorzy na postęp.

Objawy choroby: przekrwienie mózgu nerwy;

rozwijają się kosztem muskułów, a muskuły, osłabione, zgorączkowane, nie podtrzymują już mechanizmu ludzkiego.

Równowaga między materją i duchem zachwiała się.

Dobrze byłoby pomyśleć o tem biednem ciele, jeżeli jeszcze czas — bo to zwycięztwo nerwów nad krwią stanowi o naszych obyczajach, o naszej literaturze, o całej naszej epoce.

Zastanówmy się nad wynikami literackimi takiego stanu rzeczy. Oczywiście, że każde dzieło, jako dziecię ducha, podobne być musi do swego ojca — więc też wedle stanu przesilenia, czy zdrowia inteligencji, urodzi się dzieło spokojne lub gorączkowe.

Literatura współczesna nosi na sobie piętno nerwowego rozdrażnienia, które wstrząsa naszem stuleciem, i jest bezpośrednim owocem niepokojów, badań namiętnych, panicznych postrachów, słowem tego ogólnego rozstroju, który uczuwają nasze społeczeństwa.

Daleko już od nas ten okres uroczysty, kiedy tragedja deklamowała wiersze wśród ociężałego trochę spokoju, kiedy cała literatura stąpała po królewsku bez jęku boleści.

Żyjemy w wieku kolei żelaznych i zadyszanych komedyj w których śmiech jest częstokroć skrzywieniem trwogi, w wieku telegrafów elektrycznych i dzieł krańcowych, pełnych ścisłej i smutnej rzeczywistości.

Ludzkość obezwładniona zawrotem stacza się po gwałtownej pochyłości wiedzy; nadgryzła jabłko i chce wiedzieć wszystko.

Całe pokolenie chudnie, zabija się, przeczuwając, że pewnego dnia rozstrzygną się zagadki społeczne i boskie.

Mamy ujrzeć Boga, mamy się spotkać oko w oko z prawdą, więc nic dziwnego, że nas dręczy niecierpliwość, że śpieszymy się gorączkowo żyć i umierać. Chcielibyśmy wyprzedzić czas, więc mało dbamy o nasz znój i naprężając ducha druzgoczemy ciało.

To jest właśnie cecha naszego wieku.

Kiedy cały świat i ludzkość podano w wątpliwość— wszystkie zadania podjęte zostały na nowych słuszniejszych podstawach, wynaleziono kilka niewiadomych nowego równania — i radość była a uciecha szalona.

Zdawało się wszystkim, że są na drodze do prawdy i rzucili się tłumem, obalając, popychając się, krzycząc, odkrywając co krok nowe rzeczy, biegnąc pod wpływem coraz goretszego pragnienia, aby tylko dojść do nieskończoności, do absolutu. Społeczeństwa nasze podobne są do psiarni wypuszczonej na dzikiego zwierza: wietrzą przed sobą uciekającą prawdę — i biegną za nią.

Nie kusząc się o wynalezienie ścisłego związku między atmosferą a dziełem które w niej powstaje, łatwo zrozumieć, że dzieła owej sfory ludzi wypuszczonej na pole wiedzy, będą dyszeć wszystkiemi upojeniami łowów zawziętych nieubłaganych.

Nasza literatura nowoczesna ze swemi szlachetnemi popędami, ze swemi gwałtownemi upadkami urodziła się wprost z naszych gorących aspiracyj, z naszych nagłych omdlewań.

Tę literaturę ja kocham, bo żywotna jest i ludzka, bo pełno w niej łkań, bo w niej widzę żywy obraz naszego wieku, który będzie wielkim pomiędzy wiekami jako poczęcie społeczeństw silnych, mających się narodzić wkrótce — może jutro.

Wolę taki wiek, od tamtych epok, spokoju, doskonałości i zupełnego dojrzenia, od czasów które nam dały dzieła skończone, owoce ducha do spożycia gotowe.

Wiem, że w okresach badań, ruin i odbudowywania, sztuka jest barbarzyńską i nie może zadowolnić wytwornisiów: ale ta sztuka wolna, czysto indywidualna, dziwne ma rozkosze dla tych, którzy lubują się w różnych objawach ducha ludzkiego i którzy w dziele widzą tylko odmianę człowieka postawionego w zetknięciu ze światem.

Ja kocham ten nieład, lubię ten upadek szkół literackich, bo mi sprawia radość widok turniejów umysłowych, wysiłków indywidualnych, bo z rozkoszą patrzę na tych wielkich i małych szermierzy.

Ale w takiem powietrzu umiera się prędko; pola bitwy są niezdrowe, dzieła zabijają swoich twórców.

Jeżeli więc choroba ztąd pochodzi, że ciało ninknie na korzyść nerwów; jeżeli dzieła nasze tak a nie inaczej się rodzą, jeżeli duch podniecа się dla tego tylko, że pozwalamy słabnąć naszym muskułom, — to jedynem lekarstwem będzie rozumne i wzmacniające leczenie ciała.

Rozwijamy mózg ćwicząc go zbytecznie, ćwiczmy ciało, a zwolna, stopniowo powróci w nas równowaga.

Niedość jednak powiedzieć, że potrzebne są ćwiczenia ciała; trzeba określić jakie może być dziś takich ćwiczeń zadanie — i w jakim stopniu jesteśmy do nich przygotowani.

Wystawmy sobie ludy w dzieciństwie, żyjące wśród przyjaznego słońca, upojone światłem. Bramy białych grodów stoją otworem: ludy rządzą się, bronią wzrastają swobodnie, cieszą się zaraniem ludzkości: kochają życie dla życia. Obdarzone inteligencją zdrową i silną, wytwórcze i genjalne mają upodobania, bo kąpią się w słońcu, bo same są piękne i szlachetne.

Ciało zdobywa przewagę, człowiek je ubóstwia i szuka prawdy w piękności, umysł zaspokojony widokiem rzeczy dotykalnych nie stara się badać ich treści, lub materjalizuje myśli oderwane, drzemiące na dnie wszechrzeczy. Wszędzie panuje równowaga zdrowie i rozkwit cielesny.

Wszystko skłania człowieka do pielęgnowania ciała: klimat pieszczotliwy w swej łagodności, stan społeczny domagający się dzielnych żołnierzy, osobiste upodobania budzące w nim uwielbienie dla pięknych kształtów, dla silnych muskułów.

Wszyscy żyją na pół nadzy, znają się na doskonałym rysunku nogi lub ręki. O jednem tylko myślą, aby być pięknymi i silnymi — reszta ich nie zajmuje, nie urodzili się bowiem na to, aby rozstrzygać zagadnienia bytu, lub szukać prawdy, ale po to, aby bić się i wzrastać w dzielność i wdzięki. Zjednoczone wpływy klimatu i obyczajów uczyniły z tych ludzi szermierzy, żołnierzy i bogów. Grecja była w początkach jednem rozległem gimnazjum, w którem dziewczęta i chłopcy, mężczyźni i kobiety dążyli jedynie do piękności i do siły.

W Rzymie cezarów rzeczy idą innym torem.

Przyszedł zbytek, za nim zepsucie i lubieżne lenistwo. Ciała omdlewają, ćwiczenia tracą swoją zbawienną jędrność. Szermierstwo staje się rzemiosłem, do zapasów w gimnazjach nie staje już cały naród, a jeżeli możny jaki walczy jeszcze — to pod wpływem niezdrowej namiętności.

W Lacedemonji ćwiczenia ciała miały cechę wielkości, szedł na nie lud z nabożeństwem, prostotą, jak w wiekach średnich chodzono do kościoła W Rzymie ćwiczenia stały się zabawą; zręczność poświęcono dla brutalności; biją się Rzymianie, ażeby się zabijać: bo miło jest widzieć krew płynącą kiedy się wyczerpało wszelkie inne rozkosze. Niepodobna porównywać pól Marsowych w Grecji z cyrkami rzymskimi; w Grecji nie było widzów, cały naród szermierzył i wzmacniał się — w Rzymie, gdy olbrzymi o żelaznych muskułach gladjatorowie mordowali się pięściami, w amfiteatrze rozpierali się niewieściuchy i nierządnice o ciele mdłem, rozwolnionem rozpustą.

Potem nastąpił mistycyzm, pogoda ciała: muskuły omdlewają w ekstazie i budzi się straszna reakcja przeciw materjalizmowi starożytnych. Ludzkość byłaby może wymarła, gdyby nie konieczność obrony.

Feudalizm, prawo każdego przeciw wszystkim, odżywia znów konieczność siły cielesnej. Gimnastyka zmartwychwstała w odmiennej formie.

Klimaty były już inne — obyczaje przekształciły się.

Dawniej pozbywano się ciała, żeby zdobyć giętkość; w wiekach średnich obłożono je żelazem, uzbrojono w cały arsenał. Rycerz musiał być silnym, ale musiał też być zręcznym.

Zresztą wychowywała się tak tylko kasta i szlachta miała turnieje i spędzała młodość na nauce konnej jazdy i robienia bronią. Lud nie znał innych ćwiczeń prócz ciężkiej i znojnej pracy, która go nachylała nad zagonem. Piękne dni Grecji nie powróciły nigdy.

Nie trudno byłoby wykazać, że dzieła ducha ludzkiego szły w różnych swoich formach, ze stanem zdrowia lub choroby ciała.

Wynika ztąd prawdziwa kwestja literacka.

Bo oto spójrzmy na nowożytnego człowieka, na jego strój nowożytny, na opiekę, którą go prawo otacza, na wszystkie wynalazki dążące do zastąpienia pracy ludzkiej maszyną, na całe pokolenia upojone wiedzą — i zapytajmy sami siebie, czy czujemy potrzebę siły fizycznej lub piękności kształtów?

Ubiór tak nas dobrze zakrywa, że człowiek najwątlejszy, najgorzej zbudowany łudzić może pozorami elegancji i wytworności, której nie zamieniałby za reputację siły i dzielności form.

Z drugiej strony czuwa nad nim policja, a bójki na pięście zdarzają się już chyba tylko w szynkowniach przedrogatkowych; mężczyźni przyzwoicie biją się na szpady, na pistolety; wreszcie żołnierze na wojnie stali się maszynami do noszenia broni, do strzelania z armat. W Gimnazjach szermierskich nie wiedzielibyśmy co z sobą począć.

Żyjemy w laboratorjach i gabinetach; rozrywki nasze, ćwiczenia czysto intelektualne polegają na czytaniu dzienników i dzieł nowowychodzących.

Wreszcie czujemy wszyscy, że niedługo będziemy pracować, nauka dostarcza nam maszyn, które wyręczają pracę ręki ludzkiej; wkrótce może człowiek będzie tylko odpoczywał i używał.

Tu źródło tej wielkiej obojętności dla siły fizycznej; do ćwiczeń ciała nic nas nie ciągnie, ani klimat, ani obyczaje.

Bez siły i bez piękności obywać się możemy doskonale.

I dla tego pozwalamy ciału omdlewać, uczyniwszy je naprzód nieużytecznem i pielęgnujemy umysł, wytężamy jego sprężyny tak, że aż skrzypią, bo duch tylko potrzebny nam jest do rozwiązywania zagadnień, które widzimy przed sobą.

Tym sposobem zdążamy wprost ku śmierci. Ciało topnieje, duch się podnieca: psuje się cała maszyna. Dzieła będą w końcu owocem obłędu.

Więc gimnastyka powinna mieć kierunek leczniczy.

Gimnastyka będzie leczniczą, bo ją nam narzuca zdrowie, bo nie idziemy ku niej z upodobania.

Była potrzebą społeczną, prawie religją w okresie greckim i średnich wieków; zabawką, namiętnością sromotną za rzymskiego imperjum, u nas musi być po prostu lekarstwem, prezerwatywą przeciw szaleństwu. Takie posłannictwo wyznacza jej epoka, w której żyjemy.

Wspomniałem, że podoba mi się taka epoka przejściowa, że dziwną mię przejmuje uciechą badanie gorączki, którą przebywamy.

Ale czasem uczuwam trwogę, patrząc na całe pokolenia drżące i osłupiałe i wtedy chciałbym mieć trapez aby wzmocnić sobie ręce i mózg oswobodzić.

Bo widzę przed sobą migający w ognistych głoskach epigraf:

Mens sana in corpore sano.«

Treść Nr. 29. str.

Z Drukarni „Gazety Narodowej" pod zarządem A. Skerla. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.